Rok VI. Lwów, Niedziela dnia 12. Października 1879 r. **Tom IX.**

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 37.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni **S. A. Krzyżanowskiego**

Zamek na Wawelu.

Podniesiono na nowo w ostatnich czasach sprawę restauracji Zamku na Wawelu, która wszystkim nam tak na sercu leży, że powinniśmy wszelkimi sposobami dążyć do jej urzeczywistnienia. A w obecnej chwili jest to możliwem, okoliczności układają się sprzyjająco, a za sobą mamy potężnych popleczników: słuszność i prawo.

Ustęp ten skonfiskowała c. k. Prokuratorja Państwa.

Czy licuje to z zapewnieniami przychylności i zkądinąd łagodnem postępowaniem? Rozumielibyśmy to jeszcze i jako tako tłumaczylibyśmy gdyby owe zkoszarowanie Wawelu było koniecznem ze względów wyższych politycznych lub militarnych—ale tego w obecnej chwili nie widać wcale i jesteśmy przekonani, że nie wielkiemi staraniami zdołanoby skłonić odpowiednie władze do zmiany stanu obecnego. A zresztą obok tych powodów prostej słuszności jeszcze i prawo jest po naszej stronie. W jednym z ostatnich numerów Dwutygodnika naukowego p. Ziemięki, gorliwie zajmujący się tą sprawą, zestawia dobitne na to dowody. Już po zajęciu Krakowa w 1846 r. znajdujemy Zamek królewski w spisie miejskich realności; były potem o to spory z rządem, które jednak na korzyść miasta załatwione zostały — lecz niestety, miasto nie chcąc brać na siebie kosztów utrzymania, nie podnosiło później kwestji windykacji wcale i koszary zagnieździły się tam na dobre. Przez ten czas władze wojskowe wydały pewne sumy na dobudowanie i rozszerzenie lokalności koszarowych i z tego powodu mogą mieć teraz niejakie pretensje, które jednak nie są zbyt trudne do załatwienia.

Sądzimy, że reprezentacja nasza w Wiedniu, która tyle rządowi usług oddała, mogłaby uzyskać w zamian chociaż tę niewielką indemnizację. Jeźliby już nie mogło być co innego, to niech chociaż zamek stanie się rezydencją dworską, jak ich tyle jest rozsypanych po obszarze austrjackiej monarchji.

Nie ulega wątpliwości, że i miasto i kraj i pojedyncze ofiarne osoby przyczyniłyby się do odnowienia w ogrodzie pamiątek narodowych najpiękniejszej jego pamiątki. Kraków żyje temi pamiątkami; one ze wszystkich dzielnic polskich ściągają wędrowników. Kraków stara się zająć stanowisko ogniska sztuk i nauk, w dobrze zrozumianym interesie zachowuje i pielęgnuje wszystkie pamiątki, i w tym wypadku nie żałowałby zapewne ofiar na ileby go starczyło. Sejm bez wątpienia przyczyniłby się ze swej strony. Nie idzie tu o wyłożenie kolosalnych sum za jednym razem. Można byłoby restaurację rozłożyć na lat kilka idąc naprzód systematycznie i poczynając od rzeczy najkonieczniejszych. Nawet w krótkim czasie przebudowy nie dałyby się dobrze przeprowadzić. Studja przygotowawcze musiałyby zająć długi czas, żeby módz wiernie odtworzyć to, co dawniej było, nie restaurując tak na oślep jak to się stało z Sukiennicami.

W wzmiankowanej rozprawie podają, że suma 100.000 złr. rocznie przez Sejm na lat kilka zawotowana w połączeniu z innemi źródłami wyżej wspomnianemi, wystarczyłaby do restauracji budynków i wewnętrznego urządzenia w sposób odpowiedni do stanowiska Wawelu.

Pamiątek historycznych rozrzuconych po kraju jest bardzo wiele. Przechodziły one z rąk do rąk i w rękach prywatnych znajduje się znaczna ich ilość. Nie ulega wątpliwości, że wszyscy ich właściciele przyczyniliby się temi darami do nadania Zamkowi cechy historycznej, gdyby mieli pewność, że restauracja przyjdzie do skutku. Artyści nasi, tak ofiarni zawsze gdy idzie o sprawę narodową, jak gdyby byli rozrzutnymi magnatami, pospieszyliby z pomocą, żeby odnowione komnaty królewskie były krokami dawnych dziejów i powoli, w ciągu lat kilku utworzyłoby się wielkie muzeum narodowe, rodzaj Waohalli polskiej, które nietylko skarbami nagromadzonemi dzieł sztuk i pamiątek, ale i samym gmachem tłumy przyciągało.

Nie możemy się wdawać na tem miejscu w bliższe szczegóły projektu tej zmiany i odsyłamy do wzmiankowanego wyżej źródła, podajemy tylko wyliczenie szeregu zbiorów, któreby na Wawelu godnie miejsce zająć mogły. A więc przedewszystkiem galerja obrazów przeważnie naszych malarzy, którąby się uzupełnić mogła powolnem zakupnem i przyjmowaniem na przechowanie prywatnych zbiorów. Wystawa sztuk retrospektywna przypominająca w chronologicznym porządku rozwój sztuk w naszym kraju w stosunku do krajów ościennych. Dział ten byłby najliczniej reprezentowanym i w nim mieściłyby się wszytkie pamiątki, których tak wiele po kraju dotychczas rozsiano było. Organicznie z tym mogłyby być złączone zbiory archeologiczne, wykopaliska objawiające przedhistoryczne życie zamieszkujących naszą ziemię plemion. Dalej zbiory etnograficzne dające obraz życiu ludu Polskę dzisiaj zamieszkującego a wreszcie galerje pamiątkowe znakomitych obywateli kraju, którzy swym genjuszem sławę krajowi przynieśli.

Utworzenie takiego muzeum, praca to trudna i żmudna, ale nie niemożliwa. Przecież widzimy jak w oczach naszych siłą pojedyńczych ludzi, posiadających wielki zapas energji, zbiory piękne i obfite tworzą się i rozwijają, a cóż dopiero gdy zechcą wprowadzić w życie muzeum jedyne w swoim rodzaju i w miejscu przypominającem najlepsze nasze czasy.

Może nareszcie spokój grobów wawelskich nie będzie przerywany niemiecką komendą wojskową i przedrzyźniającemi świętości miejsca piosnkami żołnierskiemi.

CHAITA.

OBRAZEK.

przez

ELIZĘ ORZESZKOWĄ.

(*Ciąg dalszy.*)

Chaita nie była samą na świecie. Chaimek był jej wnukiem, po najmłodszej córce, po tej właśnie, która przez czas krótki kwitła jak róża w kolczatym wieńcu jej życia. Śmierć zwiała z ziemi różę starej łachmaniarki, ale ona upatrywała żywy jej obraz w pozostawionem przez nią dziecięciu. Chaimek miał włosy matki kasztanowate i wijące się w mnóstwo pierścieni, a oczy takie, jakie niegdyś miała babka jego, czarne, wielkie, szeroko rozwarte wśród ściągłej, bladawej twarzy. Chaimek był ładnem dzieckiem. Czy uważaliście to państwo, że wszystkie, bez wyjątku prawie, dzieci izraelskiego plebsu, w pierwszych latach dzieciństwa bywają bardzo ładne? Potem stopniowo: twarze ich chudną, źrenice gasną, usta pobladłe otwierają się z wyrazem gapiowatego osłupienia. Wyrostki i podlotki posiadają już najpowszechniej pozory chorobliwości i leniwego znękania. Nie wiem co właściwie obiera je tak szybko i nieubłaganie ze świeżości i wdzięków. Czy widzieliście państwo kiedy mieszkanie ich rodziców? Czy zbadaliście wraz z uczonym niemieckim, twórcą *traktatu o żywności*, wpływ wywierany na organizmy ludzkie przez pewne gatunki i ilości pokarmów? Czy zajrzeliście kiedy do „chederów“, w których dzieci te uczą się? Czy wiecie, czego, jak i kiedy uczą się one? Czy znacie melamedów o silnej pięści i niecierpliwem oku?...

Cokolwiekbądź, Chaimek jest jeszcze bardzo ładny. Ubranie jego zdradza w sposób wyraźny professję babki i jedynej opiekunki jego; od roku już bowiem przeszło nosi on w lecie i w zimie kamizelkę z białego perkalu w czarne centki, surducik z perkalu i czapkę z perkalu. Do czapeczki przyszytym jest daszek skórzany, bardzo zmięty, ale Chaimek rzadko nosi czapeczkę, bo najczęściej zapomina ją w domu, a na mieście ukazuje się w małej, rudej jarmułce, która przykrywa sam wierzch zaledwie spierścienionych jego włosów.

Chaita sama zawsze własnoręcznie szyje ubrania Chaimka. Prawda, że zdarza się to bardzo rzadko, zawsze jednak szczególnym jest widok starej kobiety tej, gdy w wielkich okularach, których brzegi zachodzą do połowy prawie pomarszczonego jej czoła, i w żółtej swej chustce ściśle oblepiającej jej głowę, siedzi ona na nizkim stołku i przy świetle lampki z długim kominem, drżącemi, ciemnemi rękami przykraja, przymierza i zszywa spłowiałe łachmany. Czyniąc to z wielkiem zajęciem, z nadzwyczajnem wytężeniem myśli i wzroku, od chwili do chwili pomrukuje półgłosem. Mówić do siebie jest jej stałym zwyczajem. Kto tam teraz żyje? — szepce czasem. Myśli wtedy o małej brudnej karczemce, w której urodziła się i wyhodowała.

— Aj! aj! jakie one były piękne!...

Wspomnienie to o starych drzewach dworskiego ogrodu, pod cieniem których przechadzała się kiedyś dzieckiem i dziewczęciem będąc.

Czasem uśmiecha się i głową wstrząsa z rodzajem żartobliwej pogróżki. Przed wzrokiem jej przepłynęły z srebrnem dzwonieniem fale strumienia i zamigotały czarnemi oczami wpatrzonej w nie dziewczyny. .

Innym jednak razem wzdychała ciężko.

— Kiedy on umarł — mówi — to on bielszy zrobił się, niż ta mąka, którą zawsze nosił na sobie! On młodo umarł, ale co to dziwnego? Wory ciężkie na wóz kładł on przez całe życie... zmęczył się bardzo i... poszedł sobie...

Potem dodaje:

— Panie świata! połącz duszę jego z duszami Abrahama, Izaaka i Jakóba i wszystkich miłych Tobie!

A czasem mówi:

— Człowiek podobny jest tchnieniu! dni jego znikają jak cień!

Wtedy myśli o młodej, hożej córce swojej, matce Chaimka, o róży owej, którą z ziemi zwiała śmierć...

Bywają jednak chwile, w których z ręki Chaity wypada gruba igła; ściska ona pięść z wielkim gniewem, oczy jej z za wielkich okularów gniewnie pałają.

— Aj! aj! zła kobieta, złodziejka! niegodziwa! jak ona mię obdarła! jak ona mię oszukała! Dwa złote za taki gałgan odemnie wzięła! a kto mnie za to tyle da? ja nieszczęśliwa jestem! ona mnie zgubiła!

Namyśla się potem, uspokaja i dodaje:

— Nu! kto mnie za to tyle da? Dziewczyna ta od tych bogaczów! Ona na niczem nie zna się i ciągle tylko śmieje się i podskakuje. Ja jej do tego kaftana te błyszczące guziki przyszyję, a pokazywać go jej będę nie z tej strony, gdzie są dziury, ale z tej gdzie będą błyszczące guziki. Może ona mnie i trzy złote da! Złoty zarobku! toby to szczęście było!...

Marząc o olbrzymim zarobku całej złotówki i uśmiechając się filuternie na myśl o błyszczących guzikach, któremi nazajutrz olśnić ma młodą pokojówkę, ciągle śmiejącą się i podskakującą, stara babka czuje że drzemać zaczyna. Nogi okrutnie bolą ją od kamieni, po których cały dzień chodziła, radaby się już położyć i rozciągnąć ociężałe swe członki na łóżku, opatrzonem niestety w jedną tylko, bardzo zeszczuplałą, bo wyprawną jeszcze pierzynę. Wstaje tedy, ale uczuwa, że ciało jakieś leży pod jej stopami. W drżącą rękę ujmuje lampkę i pochyla się z nią ku ziemi. Chaimek to, który siedział zrazu u kolan jej gwarząc i przypatrując się sporządzanym dlań szatom przedziwnej świetności, leży teraz u nóg jej, skurczony w swem bardzo już podartem odzieniu, głęboko uśpiony i w silnie ściśniętej ręce trzymający kawałek niedojedzonego obwarzanka.

Wązkie, wklęsłe wargi Chaity roztwierają się szerokim uśmiechem; stawia ona lampkę na stole, bierze wnuka w objęcia, i składając na rozrumienionej snem twarzy jego głośne pocałunki, mówi:

— Śpiochu ty mały! ja przez ciebie tylko co nie upadła!

Przy ostatnich wyrazach tak już śmieje się, że aż chichoce prawie. Chaimek budzi się, otwiera senne powieki i coprędzej niesie do ust niedojedzony przedtem obwarzanek. Babka wsuwa go pod pierzynę.

— Bobe? — odzywa się dziecko.

— Nu? — pyta babka zajęta zdejmowaniem swego kaftana.

— A gdzie ta dziesiątka, którą ja dziś od puryca dostałem?

Pytanie to sprawia na Chaicie przykre bardzo wrażenie.

— Gdzie ta dziesiątka! — woła — ja ją za okno wyrzuciłam. Ty ją wyżebrał! a czy ja tobie nie mówiłam, żebyś ty nie żebrał! Jak ty mnie jeszcze raz nie posłuchasz to ja ciebie rózgą wybiję!

Chaimek ani wyrzutów ani pogróżek babki już nie słyszy. Śpi on już znowu z obwarzankiem przy ustach i z ramieniem ubranem w brudny, gruby, podarty rękaw, zarzuconem nad głową. Ciemne rzęsy rzucają mu na różowe policzki długie cienie, a drobne usta uśmiechają się sennie i łagodnie. Stara babka gniewa się jeszcze chwilę i sarka, lecz potem wydobywa z kieszeni wyżebraną przez wnuka dziesiątkę i ogląda ją na wszystkie strony, jakby sama przekonać się chciała, że nie uczyniła wielkiej niedorzeczności wyrzucenia ją za okno. Wzdycha przytem ciężko, głową smutnie wstrząsa, lecz nakoniec, wsuwając się pod pierzynę, wymawia:

— Nu! cóż robić! — i dodaje — Bieda!

Niekiedy, babka i wnuk bawią się we dwoje bardzo wesoło. Zdarza się to wtedy najczęściej, kiedy Chaita dość późnym wieczorem wraca do mieszkania swego, niosąc na plecach swych kosz pełen kupionych i podjętych ze śmietnisk łachmanów. Mieszkanie Chaity znajduje się w najgłębszym środku labiryntu tego, który składają uliczki i domki żydowskiej dzielnicy miasta Ongrodu. Składa się ono z izdebki tak nizkiej, że zczerniałych belek jej sufitu Chaita z łatwością ręką dosięgnąć może, a tak ciasnej, że wielki gliniany rozsypujący się piec, większą połowę jej zajmuje. Pod jedynem okienkiem izdebki tej, złożonem z malutkich szybek, oprawnych w spróchniałe ramki, nie ma żadnej wcale ulicy; domek bowiem stoi wśród wielkiego nagromadzenia podwórek. Jest ich tam dokoła takie mnostwo, że nieobeznanemu z miejscowością trudnoby się wśród nich zorjentować. Rozdzielone malutkimi domkami i płotami przegniłemi, dziurawemi, chylącemi się ku ziemi, plączą się one ze sobą i najróżniejsze posiadają kształty; wąziuchne są a długie i kręte niby korytarze, to kwadratowe lub okrągłe, w ezarne stajenki i składziki zaopatrzone, stosami śmiecia zjeżone z kałużami wiecznie stojącemi wśród ostrych kamieni bruku, tu i owdzię z nagromadzeniem starych desek jakichś, na których w dzień huśtają się gromady dzieci, a które nocami skrzypią i stukają pod powiewem wiatru.

(C. d. n.)

Z PODRÓŻY I PRZECHADZEK

PO POŁUDNIOWO-ZACHODNIEJ NORWEGJI.

Z LUŹNYCH NOTATEK SPISAŁ

STANISŁAW BEŁZA.

(Ciąg dalszy).

VI.

Thelemarken. — List I. do przyjaciela.

Riukanfoss. Sierpień 1875 r.

Jestem od dwu dni w Thelemarken, to znaczy w raju na ziemi, w najpiękniejszej prowincji, jaką wyobrazić sobie możesz, już nie w Szwajcarji norwegskiej ale w Norwegji szwajcarskiej. W tej chwili piszę to w uroczym szwajcarskim domku (Krokau), położonym na wysokości kilkutysięcy stóp nad poziomem morza. Naokoło mnie góry i przepaście, a przedemną wspaniała kaskada Riukanfoss, rzucająca się z wysokości 750 stóp w głębię. Widok, jaki te masy wód spadające z góry, sprawiają, nie do opisania, a szum i huk, jaki tu wciąż panują, nie do wytrzymania doprawdy. Dziwię się, jak tu ciągle mieszkać może pewna, miła bardzo jejmość, utrzymująca restaurację w Krakowie.

Ale jakem tu się dostał?

Dawno już, dawno, kiedy marzyłem w młodzieńczych jeszcze snach moich, o Skandynawskim półwyspie z jego dziewiczą naturą, ludami i reniferami, wywiedziałem się coś o Thelemarken. Gdzieś wyczytałem, że ta prowincja Norwegji tyle pono warta co Szwajcarja, że tu zamknięte cuda śpią sobie spokojnie, bo ich nikt nie przychodzi oglądać lękając się trudów i... bałwanów burzliwego Bałtyku. Któraś geografia mi powiedziała, że lubo góry w tych stronach niewielkie i nie straszne, przecież w łonie swojem chowają urocze widoki, że tam zaklęty szumi sobie od wieków, bodaj czy nie największy wodospad w Europie.

Kiedym wreszcie po latach wielu, a wielu, stanął na lądzie Norwegji, pewien Norwegczyk powtórzył mi to samo, a gdy w dodatku i niemiecki Przewodnik, który sobie w Kopenhadze kupiłem, zaczął mi się rozpływać w uniesieniach nad pięknością tej prowincji, nie było rady, postanowiłem pojechać do Thelemarken. I dziś, nie żałuję tego.

Chcąc z Chrystjanji dostać się do Thelemarken, trzeba przedewszystkiem udać się na banhof zachodniej kolei, i kupić bilet do Kongsberg. Tak ja robię i za chwilę znajduję się w wagonie trzeciej klasy, otoczony kobietami, dziećmi i... psami. Krzyczy to wszystko jedno przez drugie, gestykulują każde jak umie, a ja wciśnięty w kąt wagonu patrzę i słucham... naturalnie nic z tego całego harmidru nie rozumiejąc.

Nareszcie gwar się ucisza, jedna kobieta powstaje z miejsca swego i zaczyna coś innym opowiadać. Co słowo powie, to słuchaczki wybuchają sutym śmiechem, a ile razy się zaśmieją, to spoglądają na mnie. Co u licha myślę sobie, czy ja tak śmiesznie wyglądam czy co? Bądź jak bądź, odpowiedzieć sobie na to pytanie nie umiałem, nie rozumiejąc po norwegsku, nie mogłem wiedzieć bowiem o co im chodziło i do dziś dnia zdać sobie sprawy nie mogę z tego, co te kobiety tak śmieszyło, kiedym razem z niemi jechał koleją do Kongsberg.

Droga do Kongsberg romantyczna i urocza bardzo. Z razu jedziem nad samem morzem, tak iż ci się nieraz zdaje, że wpadniesz z całym pociągiem w głębie wód nieprzejrzanych okiem; potem tracisz z oczu lazury morskie, aby je zamienić na pagórki, umajone prześliczną zielenią.

Stacje drogi Kongsbergskiej o prostym i niewyszukanym stylu. Dworce kolei pobudowane przeważnie z drzewa, odznaczają się czystością i porządkiem, ale niczem więcej. Znać we wszystkiem że *piękne* jest tu poświęcane dla *pożytecznego*, wzgląd bowiem użytecznościowy przebija tu się we wszystkiem. Na pewnej stacji pociąg zatrzymał się przydłużej, umyślnie więc porzuciłem moje kobiety, aby się o urządzeniu wewnętrznem dworców norwegskich przekonać. Wszystko tam pospolite i skromne, powiem nawet ubogie, ale we wszystkiem znać myśl, zmierzającą do tego, aby podróżnym wygodnie było.

Co odróżnia dworce norwegskie od naszych, to brak sygnałów znanych nam dobrze. Zastąpiane są one donośnemi elektrycznemi dzwonami, które gdy meldują następnej stacji o wyjściu pociągu, to aż uszy doprawdy bolą. Po stacjach snują się małe dziewczęta i częstują gości angielskiemi cukierkami i poziomkami. Cukierki te i poziomki, ułożone w zgrabnych maleńkich pudełkach, bardzo znacznie napozór wyglądają; znać staranie i porządek w najdrobniejszej rzeczy w Norwegji.

W kilka godzin po opuszczeniu Chrystjanji jesteś w Kongsberg. Droga przechodzi ci bardzo przyjemnie, zarówno bowiem wzrok twój jak i słuch znajduje na niej obfity pokarm. Jakto słuch? zapytasz zapewne. Otóż ci powiem, że tak a nie inaczej; Norwegczycy bowiem mają piękny zwyczaj śpiewać w drodze psalmy nabożne, a że śpiewają pięknie, przeto przyjemność ci to prawdziwą sprawia. Czy więc wsiądziesz na statek na Miösen, czy wtulisz się w kąt pociągu kongsbergskiego, wszędzie i zawsze towarzyszyć ci będzie melodja, z nastrojem religijnym i rzewnym, która duszę twoją dziwnie kołysać będzie.

Kongsberg jest niewielkie miasto; zdaje się że nie liczy więcej nad 5,000 mieszkańców, ale gwarno w niem i ruchliwie. Jest ono zamieszkane w wielkiej części przez górników, słyną bowiem w całej Norwegji kongsbergskie huty. Wydobywają tu nawet srebro i to podobno wcale nieposledniej wartości. Położenie miasta nie bardzo piękne. Wciśnięte, a raczej wszczepione w góry, siedzi sobie jak baba pod piecem; dokoła otoczone kłębami dymu.

Kiedym do Kongsbergu przyjechał, zjazd był nie lada; mnóstwo bowiem Anglików ściągnęło tu z różnych stron; wszędzie więc słyszałeś mowę dzieci Albionu. Zjazd ten był mi po części nie na rękę; gdybym był godzinę później przybył, musiałbym chyba na szczerem polu noc przepędzić, wszystkie bowiem numera w dwu hotelach zajęte przez gości były. Szczęściem pospieszyłam się i dostałem kąt, a Anglik, który po mnie przywędrował, zmuszony był podobno spać w kuchni, pomimo miljonów swoich i protekcji królowej Wielkiej Brytanji. Ale tak się dzieje na całym pono świecie: „kto pierwszy w czasie, lepszy w prawie,“ powiada rzymski jurysta.

Przespawszy noc w *Hansens hotel* w Kongsberg, nazajutrz rano ruszyłem w drogę. Nająłem więc sobie jednokonny wózek (zwany w Norwegji *karjola*) i na nim postanowiłem dotrzeć do samego serca Thelemarken. Drogi przedemną leżały dwie: przez Hitterdal i przez Bolkesiö. Otwieram mój niemiecki Przewodnik i oto co w nim na stronie 112 wyczytuję:

„Droga przez Bolkesiö jest od tamtej daleko piękniejsza, ale że nie zawsze na niej można dostać koni, przeto do podróży uciążliwsza. Piesi przecież tą drogą jedynie winni udawać się do Thelemarken.“

Dobrze więc, myślę sobie, należy mi poznać obie drogi: pojadę teraz przez Hitterdal, a powracać będę przez Bolkesiö. Pojechałem więc, ale co na tej strasznej drodze użyłem..

Nigdy tej podróży nie zapomnę.

Co kilka chwil koń mi przystawał, musiałem mu dawać półgodzinny wypoczynek. Chciałem już rzucić i karjolę i konia i iść piechotą do celu wędrówki mojej, ale mnie chłopiec, którego z sobą wziąłem, od tego kroku ostatniej rozpaczy gestami odprowadził. Dojechałem więc, ale com przez te sześć godzin przeżył i wycierpiał...

„Nie powiem nikomu,
Bo w śmiertelnych języku nie ma na to słowa.“

jak powiada Mirza w *Sonetach krymskich* Adama.

A jednak droga ta, jak zresztą wszystkie w Norwegji, piękna, bardzo piękna. Wciśnięta w góry, biegnie równolegle z małym strumykiem, który ci szemrze skandynawskie sagi i do snu kołysze. Znalazłszy się na wysokości 3,350 stóp nad poziom morza, po przejechaniu Tinnelwy, masz tuż, tuż zaraz przy moście pyszny Tinnfoss. Jestto kaskada, pierwsza, jaką w Norwegji widziałem. Jakaż ona powabna i romantyczna! Woda rzuca się z góry w objęcia rzeczki, ale nie z tą grozą, jaka w Riukanfossie, ale ze spokojem i jakoś nawet miłośnie. Rzekłbyś, że to kochanka łączy się z kochankiem, spragnionym jej eterycznych wdzięków i serdecznego ciepła.

A tam dalej? Stara jakaś *kyrke* (kościół) sterczy wśród wzgórz i pozdrowienie ci zasyła. Jakażto wspaniała budowla! Zatrzymuję konia i podchodzę ku niej bliżej, bom czegoś podobnego w życiu jeszcze nie widział.

Wystaw sobie: kościół z drzewa modrzewiowego, właściwie bez żadnego stylu, coś nakształt arki, coś nakształt okrętu. Na każdej ścianie ganki i daszki, a ściana główna to już chyba z samych daszków złożona. Zczerniałe to wszystko i przybite do ziemi, mówi ci o zgrzybiałości swojej i zdaje się ostrzegać, byś do wnętrza nie wchodził, bo ci się to wszystko razem na głowę zwalić może. Więc nie wchodzisz, ale zdaleka podziwiasz to arcydzieło dziwacznego pomysłu i ekscentrycznego wykonania. Żałuję, żem nie mógł się dowiedzieć, kiedy ta świątynia wzniesiona, pewny jednak jestem, że stoi wieki. Ktoś, kiedyś, kiedyś przed laty wsadził tę ciesielską zabawkę w góry i stoi to tam sobie spokojnie na chwałę Bogu i pociechę ludzi.

Zaraz za tym kościółkiem, Lysthus, pół drogi do Tinnoset. Zajeżdżam więc, rad wielce, do jakiegoś chłopa i gdy na zapytanie:

— *Kan jeg paa de naeste Stationer faa friske Heste?* (Czy mogę do następnej stacji dostać świeże konie)? otrzymuję twierdzącą odpowiedź; pojmiecie łatwo, w jaki mnie to humor wprowadza.

Patrzę na zegarek, mam pierwszą godzinę; do Tionnoset liczą ztąd trzy mile, postanowiłem więc z godzinkę wypocząć pod miłym dachem zajezdnego domu i około drugiej dopiero wyruszyć dalej w drogę.

Tymczasem klaszczę w dłoń.

Zjawia się *smuke pige* (piękna dziewczyna).

*

Istotnie piękna. Włos płowy, wzrost średni, oko duże, rozumne. Odziana w spencerek szary z niebieską chusteczką na szyi i białym fartuszkiem, wygląda jak zjawisko niebieskie, wśród tych piekielnych dróg. Włosy ma zwite w dwa warkocze, w koniec których wpleciona różowa wstążeczka. Patrzę na nią i myślę sobie:

Miły Boże! kto tę kobietę odciętą od cywilizacji i świata, nauczył dobrego gustu?

Ale one już podobno na całym świecie z dobrym gustem się rodzą.

— *Toler de tydsk?* (Czy mówisz po niemiecku) — zapytuję.

— *Ikke* (nie) — odpowiada — i uśmiecha się.

A więc myślę, trzeba się uciec do mojej smutnej norwegczyzny.

Recytuję więc dziewczęciu:

Bröd, aeg, smör, fisk.

Za chwilę mam; chleb, jaja, masło i rybę.

— *Tok skal de have* (dziękuję panience).

Odpowiada mi dygnięciem.

Spożyć to wszytko, co mi dziewczyna przed oczy postawiła, było rzeczą prawie jednej chwili. Znużenie dodawało mi apetytu, to też gdy moja piękna gosposia weszła znowu do izby, zastała tylko na stole skorupy, oście i małe kawałki niedojedzonego chleba.

W żaden sposób nie mogłem się dowiedzieć, ile to wszystko kosztuje. Przemawiałem do dziewczęcia wszystkiemi znanemi mi językami, nic nie pomogło. Nie rozumiała mnie i tylko się śmiała. Wyjąłem więc kilkanaście szylingów i położyłem na dłoni. Wybrała z nich trzy i dygnęła znowu szepcząc nieśmiało:

— *Tok skal de have* (dziękuję panu).

Kiedym opuszczał chatę, dziewczyna rzekła głośno:

— *Tydsk* (Niemiec)

Odwróciłem się z oburzeniem.

— *Nei, jek Pollack* (Nie, ja jestem Polak).

— *Ach sso Pollack* (ach, tak Polak) — powtórzyły wtedy i matka i córka, i zdaje mi się, że obie wdzięczniej jakoś na mnie spojrzały.

Pewno, pomyślałem, pierwszego Polaka w życiu widzą one we mnie, pewno już tak prędko drugiego nie zobaczą.

Westchnąłem wychodząc z chaty i wsiadając na karjolę. Byłżeby to żal po pięknej dziewczynie??... Być może, bo już przez całą drogę do Tinnoset tylko o niej myślałem i ani się spostrzegłem, gdy dojechałem do kresu podróży mojej. Wsprawdzie droga była znacznie od poprzedniej lepsza i koń jakoś lepiej ciągnął, więc się jechało, jechało i marzyło... Bóg wie już nie o czem.

VII.

Jeszcze Thelemarken. — Tinnosset. — Kogom tu spotkał. — Dalsza podróż we trzech. — Na jeziorze. — Charakter Tynnu. — Pogawędka na pokładzie statku i moje położenie.

Czem dla podróżnego po Saharze bujna i żyzna oaza, tem dla mnie, po przebyciu drogi z Lysthus, było Tinnoset. Nie pamiętam, czy ta droga dała mi co powabnego, najprędzej prócz monotonności nic;; Tinnoset zato przedstawiło mi się tak rozkosznie, że do dziś dnia zapomnieć nie mogę pierwszego po niem wrażenia.

Dojeżdżałem do kresu podróży mojej, kiedy mrok już zapadał. Słońce znużone całodziennym biegiem, schowało się za pagórki i tylko przez szczeliny przesyłało ostatnie *do widzenia* ziemi. Promienie jego krwawe i gorące uderzały najpierw o zwierciadło wód, myjących stopy Tinnosetu i tam skąpane rzucały się nieśmiało na domki, rozsiadłe nad jeziorem. Rzucając się, oświecały jakby od niechcenia te ciche ściany, które zdały się gorzeć w powolnym ogniu. Było to piękne, żem dojeżdżając przystanął, aby nacieszyć się tym widokiem; ale zazdrosne o swe ostanie wdzięki bóstwo ciepła i życia, niedługo dozwoliło mi podziwiać je w pokorze ducha i utonęło całe w lazurze wód, aby rozbudzić się dopiero nazajutrz. Do zobaczenia więc...

Zajechałem do przyzwoitego zajezdnego domu. Cisza tu panowała grobowa, prócz bowiem dziewki, brzydkiej jak straszydło, nie miałeś w domu nikogo. Rzekłbyś, że wymarli wszyscy.

Nie wymarli jednak, a tylko poszli łowić ryby. Dowiedziawszy się o tem właśnie i ja zamierzałem nad jezioro się udać, kiedy nagle do pokoju, w którym się znajdowałem, wpadł jak bomba jakiś młody człowiek, zaczął wołać na cały głos służby, wreszcie przybliżył się do mnie i najczystszym niemieckim akcentem rzekł:

— Pan jest jak widzę cudzoziemcem, ja tu jestem jak u siebie w domu; nazywam się Diderek Brun i jadę jutro wspólnie z moim kolegą do Riukanfass. Może mógłbym być panu w czem użyteczny?

Zadziwiała mnie ta mowa młodego człowieka, patrzyło mu dobrze z oczów, odpowiedziałem więc bez wahania:

— Jestem podróżującym Polakiem. Jadę również na Riukanfass i jeżeli można, pragnąłbym odbyć tę podróż w tak miłem towarzystwie.

Podaliśmy sobie ręce i w godzinę później byliśmy jak starzy znajomi.

„Młodości tobie nektar żywota
Natenczas słodki, gdy z innymi dzielę;
Serca niebieskie poi wesele,
Kiedy je razem nić powiąże złota."

Musiał znać chyba ten wiersz wielkiego poety pan Diderek Brun, bo gwałtem chciał się prawie wcisnąć do mojego serca. Opowiedział mi że jest studentem uniwersytetu, że jego ojciec jest sławnym norwegskim komikiem, że lubi... wino, kobiety i śpiew. Śpiewał więc mi zaraz urocze norwegskie melodje, a gdy mimochodem i o nasze narodowe zahaczył, zdało mi się że go polubiłem nawet.

Nadszedł tymczasem jego przyjaciel.

Było to znacznie starszy mężczyzna, istna antyteza tamtego. Powolny i flegmatyczny, gorszył się wesołością Bruna i ciągle mu epitet warjata nadawał. Ten się jednak tem nie gniewał: latał z jednego końca pokoju do drugiego, gwizdał, śpiewał, całował mnie, jego, a nawet brzydką, posługującą nam dziewkę; nareszcie wykręcił się na pięcie i wysunął z pokoju.

Nastąpiła cisza i moje zbliżenie do jego przyjaciela.

Opowiedziałem mu kim jestem, w zamian za co dowiedziałem się, że jest on lejtnantem w armji norwegskiej, że jego ojciec posiada sławny browar w Chrystjanji i że on sam podróżuje po Norwegji, celem rozpędzenia czarnej melancholji, jaka go bezustannie trapiła. Mimo powolność swoją, człowiek ten również przypadł mi do gustu. Był on od Bruna daleko głębszy i poważniejszy: szkoła życia malowała się na jego twarzy.

Prawdę powiedziawszy, rad bardzo byłem z tego spotkania.

Po pierwsze bowiem, uśmiechała mi się perspektywa wesołego przepędzenia czasu, a powtóre, podróżując z ludźmi ostatecznie wykształconymi, miałem nadzieję, że się wywiem o ich ojczyznie ciekawych szczegółów, które mi w dalszych wędrówkach pożyteczne być mogą. Jakoż nie zawiodłem się wcale, towarzystwo bowiem tych dwu panów w Thelemarken, bardzo mi było przyjemne i pomocne.

Siedzieliśmy tak obaj przy stole, gawędząc o rodzinnym kraju moim, gdy nagle do pokoju wpadł Brun, cały zabłocony i zmoczony.

— A ty warjacie co robiłeś? — zapytał jego kolega.

— Łowiłem ryby, ale o mały włos nie utonąłem w jeziorze. Djabli skarali, że łódka, w którą wszedłem, była dziurawa; ledwiem niec o odbił od brzegu, zaczęła się w nią nabierać woda: ja skik do jeziora i nie oparłem się aż o was moi poważni przyjaciele. I zaczął gwizdać, ale tak pięknie i rzewnie, iż prosiłem go, aby nie przestawał. To mu się widocznie podobało, bo gwizdał mi jedną melodję po drugiej, wybornie mimiką opowiadając co piosnka wypowiedzieć chciała.

Pieśni narodowe norwegskie są bardzo, bardzo piękne; nasłuchałem się ich w Chrystjanji: Brun dał mi poznać wiele nieznanych. Kiedy się w nie wsłuchujesz, to ci się zdaje, że ci serce z żalu pęknie, taka cię rzewność i tęsknota opanowują. Nie masz tu bogactw harmonji i skomplikowanych tonów, ale prostotę jakąś dziwną, pokrytą całunem melancholji. Czasami zagra ci w tych piosenkach jakaś nuta weselsza, ale wnet przygłusza ją smętna; czasami znowu słyszysz płacz ciągły i na płacz ci się zbiera. Lud, który wyśpiewał te piosenki, nie musiał być szczęśliwy.

Brun mi wciąż nucił, a ja marzyłem. Nareszcie tony mu zmieszał kolega.

— Spać próżniaku, wszakżeż jutro do dnia wyruszamy w drogę.

To go ocuciło.

Ocknął się i on z jakiejś zadumy, przestał gwizdać i ściskając na dobranoc moją rękę:

— Będę o panu śnił — powiedział.

I wyszli.

Dziwny, choć sympatyczny człowiek, pomyślałem.

Nazajutrz, już o godzinie piątej rano byliśmy wszyscy trzej na nogach. O szóstej statek parowy odchodził do Oernös, osady na północnym krańcu jeziora Tynn położonej; trzeba więc było dobrze się spieszyć, aby na czas z pakunkami wydążyć. Dzięki pomocy Bruna, który za wszystkich nas się zwijał, zdążyliśmy się zapakować, zjeść śniadanie, kupić bilety na statek i usadowić na nim w najwygodniejszem miejscu.

Jezioro Tynn, wzniesione na 600 stóp nad poziom morza, długie jest na trzy mile. Szerokość jego niewielka sprawia, iż wygląda na wązką szyję. Otoczone z obu stron skałami, miejscami zarysowującemi się nader groźnie, całym swoim charakterem różni się wielce od Miöseńskiego jeziora. Gdy bowiem tamto obsiadły wdzięczne pagórki, wabiące podróżnika ku sobie, to podmywa stopy strasznym górom, tu i owdzie groźnie spoglądającym ci w oczy. Więcej ono podobne jest do małych jeziorek Szwajcarji lub Włoch północnych, niż do uroczego, śmiejącego się, pieszczotliwego Miösenu, które kołysze się spokojnie i bez troski wpośród natury, pełnej wdzięcznych i spokojnych powabów.

Miejscami u stromych skał stojących na straży tych wód, spuszczają się tu wązkim wężykiem srebrzyste kaskady i toną w głębiach, które podanie ludowe bezdennemi nazywa.

Jaka jeszcze różnica zachodzi między Miösenem a Tynnem, to ta, że Miösen nie ma wcale cech jeziora górskiego. Tak dobrze mogłoby ono sobie drzemać na polistych przestworzach naszych Kujaw, jak w łonie górzystej Norwegji, niewielkie bowiem pagórki okalające je ze wszech stron, cech gór właściwie nie mają.

Tynn przeciwnie. Zaledwie bowiem upłyniesz z pół wiorsty, czujesz odrazu iż jesteś w górach, co więcej w *kraju górskim*, cała bowiem natura jest tu skalista i dzika i przeciwstawia się jak dzień do nocy naturze, jaką dajmy na to w Kongsbergu pozostawiłeś.

Zajęty podziwianiem powabnych krajobrazów, jakie co chwila ukazywały się moim oczom, zapomniałem zupełnie o towarzyszach mojej podróży. Ci jednak pamiętali o mnie dobrze, pozostawili mnie jednak zrazu w spokoju, bym się ich górskim skarbom lepiej przyjrzał.

Spokój ten jednak trwał niedługo.

— Panie kolego—wrzasnął nagle Brun — dość już tego. Nie jesteś pan malarzem, możesz już na tem poprzestać coś widział, zwłaszcza, że nic więcej nowego nie zobaczysz. Chodź pan tu do nas, zapal sobie cygaro, pogawędźmy o tem i owem, a jak co będzie godnego widzenia, to zwrócimy na to pańską uwagę.

Propozycja ta trafiła do mego przekonania, przybliżyłem się do moich dwu Norwegczyków i ze trzy przeszło godziny spędziłem w ich towarzystwie na gawędzie.

Gawęda ta nie powiem nawet, by mi nie wyszła na korzyść. O ile bowiem Brun był lekki i płytki, o tyle w towarzyszu jego widniały lepsze i głębsze podstawy. Poglądy jakie wygłaszał uderzyły mnie trafnością, przysłuchiwałem się im z zajęciem, odnosiły się one bowiem do kraju, który po mojej ojczyźnie najwięcej mnie w tej chwili interesował.

— Żyjemy tu sobie — mowił — odcięci od reszty świata, jak u Pana Boga za piecem. Świat o nas mało wie, nie często tu bowiem cudzoziemiec zajrzy, bo go odstręcza surowość klimatu i urojone niebezpieczeństwo. Każdemu z was, moi panowie, się zdaje, że Norwegja to napół dziki kraj, a mieszkańcy jego to dawni skandynawscy zbóje i złodzieje. A jednak tak nie jest. Mamy własną cywilizację, swobodę i moralność, a charakter naszego ludu, jak o tem miałeś pan zapewne sposobność się przekonać, nieustępuje w niczem charakterowi Niemca lub Anglika, a pod pewnemi względami nawet go przewyższa.

Nie mówi tu przez moje usta fałszywy i tani patrjotyzm, nie; kocham moją ojczyznę, lecz szowinizmem się brzydzę, bo on nie w sercu ma źrodło: ale zdaję sobie jasno sprawę z położenia rzeczy i patrzę na wszystko nie przez zamglone okulary. Zresztą zdanie moje potwierdzi każdy, kto w moim kraju czas jakiś przebędzie, a mniemam, że i pan o przesadę mnie nie obwini.

Połączeni od przeszło pół wieku ze Szwecją, jesteśmy z tego połączenia zadowoleni. Danja uważała nas za kolonję i wyzyskiwała jak Anglja Amerykańskie Stany. Ten związek z Danją wyniszczał nas i ubożył, a w początkach bieżącego stulecia przyniósł nam takie klęski, że się z pod ich brzemienia dotąd w zupełności otrząsnąć nie możemy.

Od roku 1807 datują te klęski. Cały świat kierowany wszechmocną dłonią Napoleona był w wojnie z Anglją, ale gdy państwa lądowe drwiły sobie z nieprzyjaźni Albionu, państwa morskie doznawały jej potężnych razów. W rzędzie tych państw, jedno z pierwszych miejsc trzyma Norwegja, ze swemi długiemi, wciśniętemi w ląd i przystępnemi dla floty brzegami. To też Anglja zablokowała nam porty i zniszczyła cały handel drzewem. Jednocześnie wybuchła wojna ze Szwecją i podczas kiedy od morza groził nam lampart Wielkiej Brytanji, od strony lądu najechała nas armja szwedzka i pustoszyła wschodnie granice nasze. Nareszcie rok 1809 przyniósł nam pokój, ale na nieszczęście nie trwał na długo i w r. 1813 znowu rozżarzyła się pochodnia wojny. W czasie tych klęsk i niepowodzeń, powstała w głowach naszych mężów stanu myśl, czyby nie było korzystniej dla kraju zerwać związek z Danją i połączyć się ze Szwecją.

Było to w roku 1809. Ale myśl ta lubo bardzo szczęśliwa, nie doznała ogólnego poparcia i większość kraju oświadczyła się za nierozrywaniem związku. Dopiero w 1814 r. kiedy urzeczywistnienie jej wzięły na siebie bagnety, wydała pożądane owoce. Po bitwie pod Lipskiem, Bernadotte zwrócił się przeciwko Danji, wkroczył do Holsztynu i zmusił pokojem w Kiel Fryderyka VI. do odstąpienia na rzecz Szwecji, Norwegji. Odtąd żyjemy szczęśliwi i spokojni, związek bowiem z Danją był nam nieznośny i do dzisiejszego dnia Duńczycy nie lubieni są w kraju, mimo przecież że nas łączą wspólne tradycje i jeden język.

— Jakto jeden! — zawołał Brun — ja się do tej jedności nie poczuwam. Nasz język jest jędrny i dźwięczny a duński ślamazarny i zniewieściały. Chcesz pan słyszeć jak Duńczyk śpiewa? — zapytał zwracając się do mnie, i nie czekając na odpowiedź zaczął przedrzeźniać Duńczyków, przeciągając nad miarę słowa — co robiło mniej więcej takie wrażenie, jakie na nas mieszkańców powiśla robi harmonijny, ale zabardzo śpiewny akcent litewski.

— Od tego czasu — ciągnął dalej jego towarzysz — żyjemy szczęśliwi i spokojni, Bernadotte następca Karola XIII, panujący w Szwecji i Norwegji jako Karol Jan do 1844 r., był przedmiotem ogólnego uwielbienia obu tych ludów i dziś jak pan widzisz stawiamy mu pomnik w Chrystjanji. Po nim panował Oskar I, po tym znowu Karol XV znany poeta i literat, a gdy ten zeszedł ze świata bezpotomnie, na tron wstąpił jego brat młodszy, obecny król Oskar II.

Z politycznych urządzeń naszych jesteśmy bardzo zadowoleni. Połączeni tylko unją osobistą ze Szwecją, mamy osobny rząd i konstytucję jedną z najliberalniejszych na świecie.

Władza kraju spoczywa w ręku króla i zgromadzenia narodowego, zwanego Storthingiem, który corocznie zbiera się w lutym w Chrystjanji i obraduje przez ciąg od 3 do 4 miesięcy. Co trzy lata zmieniają się jego członkowie, a dzieli się on na dwie izby: Logthing i Odelsthing, które obradują oddzielnie, a w wypadkach tylko wyjątkowych łączą się dla wspólnego zatwierdzenia pewnego wniosku (rządowego).

Ponieważ król przebywa w Sztokholmie, przeto właściwie rządzi krajem tak zwany *rząd norwegski* z ministrów, których jest siedmiu, złożony. Niezależnie od nich jednak stale w stolicy Szwecji przebywają przy królu nadzwyczajni ministrowie norwegscy, obowiązani udzielić królowi radę, ilekroć razy ten w rzeczach wspólnych zasiągnąć jej uzna za właściwe.

Niezależnie od konstytucji, która nas w zupełności zadawala, posiadamy szeroko obmyślany samorząd gminny; żyjemy więc tu sobie spokojnie, nie wiele się troszcząc o tak zwaną wielką politykę, która zjada państwa reszty Europy. Bezpieczni o naszą niezależność, nie rujnujemy się na wojsko, które też ogółem do 50,000 ludzi nawet nie dochodzi. Zato dźwigamy handel i przemysł, i jesteśmy prawdziwymi rozrzutnikami na rzeczy oświaty.

Zapewne pan wiesz, że każdy Norwegczyk obowiązany jest posyłać dzieci swoje do szkoły początkowej. Pod tym względem rząd nasz jest nieubłagany i nikomu nie dozwala skazywać potomstwa swego na ciemnotę i co nieraz za tem idzie, zbrodnię. To też urządzenie to do bardzo pomyślnych wyników już doprowadziło. Mały tylko w kraju naszym procent czytać i pisać nie umie, a ludzie ze średniem wykształceniem spotkasz pan nawet pomiędzy naszymi chłopami; a za oświatą podniosło się i bogactwo ogólne.

To wzmożenie się dobrobytu i oświecenia w kraju od czasu połączenia jego ze Szwecją, sprawić naturalnie musiało, że sympatja do sąsiedniego narodu silnie się u nas rozwinęła. Lubimy Szwedów i chętnie wyjeżdżamy do Sztokholmu przebyć w ich wesołem towarzystwie czas jakiś... Charakter tego narodu otwarty i szczery, bardziej nam się podoba niż duński, który cechują więcej właściwości niemieckiej niż skandynawskiej natury. A choć kilka razy w ciągu tego wieku przychodziło do zatargów ze Szwecją, zatargi te jednak nosiły na sobie charakter przejściowy i wyglądały raczej na małżeńskie komeraże, niż na poważne nieporozumienia.

Ale zagadaliśmy się, a to i Tynnu już nie wiele. Widzisz pan ten punkcik na prawo: to Ornäs, i kres podróży naszej. Tam bowiem postawimy nogę na ląd.

Spojrzałem. W dali bieliło się coś niewyraźnie. Z pasa mgły wychylały się szczyty domów, nad któremi górowały olbrzymie wierzchołki gór. Wierzchołki te zdawały się świecić śniegiem, rzucały bowiem dokoła blask i jasność. Było południe, ale słońce schowało się gdzieś za chmury i półcień jakiś dziwny pokrywał całą osadę. Nareszcie wszystko zaczęło nam rosnąć w oczach, aż w końcu ukazało się w naturalnej wielkości. Byliśmy w Ornäs.

Brun zadowolony z końca podróży, która go nieco nudziła, schwycił pakunki, wyrzucił je na ziemię, tak że aż jęknęły z bolu, a sam śpiewając i tańcząc wyskoczył ze statku i z gracją podał mi rękę.

— Mam zaszczyt — rzekł śmiejąc się — powitać pana w sercu Thelemarken.

(C. d. n.)

POBÓR REKRUTA.

OBRAZEK ZE WSPOMNIEŃ DZIECIŃSTWA.

przez

JÓZEFA TRETIAKA.

Przyszła *bumaga*, że trzeba brać rekruta. Były to jeszcze czasy, kiedy rząd rosyjski w za-

branych prowincjach dziedzicom pozostawiał całą trudność i gorycz tego zadania. Do dziedzica należało upatrzyć kogoś ze swoich chłopów na rekruta, znaleść go, jeżeli się ukrywał, złapać, związać, trzymać go i pilnować, aby nie uciekł, a potem dostawić do komisji wojskowej, którą jeszcze prawie zawsze trzeba było posmarować, bo zawsze mogła mieć pretekst do robienia szykan.

Wiadomość o poborze rekruta bardzo często uprzedzała urzędową bumagę i błyskawicą rozbiegała się po wsi. Natychmiast wszyscy ci, którzy czuli, iż stawieni w komisji wojskowej, dostaliby głową przepisanej miary dwóch arszynów i 4 werszków, a po oględzinach lekarskich pożegnaniby byli okrzykiem „łob“, oznaczającym, iż są przyjęci i że należy im przód głowy ogolić, wszyscy jednem słowem młodzi i żadnem kalectwem nie naznaczeni uciekali ze wsi i kryli się, gdzie mogli. W zimie było to rzeczą bardzo trudną, ale latem, szczególnie przed żniwami, gdy złote, białe i zielone łany kłosami swymi sięgały niemal głowy ludzkiej, a krzaczysta leszczyna okrywszy się ciemno-zielonymi liśćmi zacieniała wnętrze naszych brzozowych, grabowych i olchowych lasów, latem łatwo było o schronienie dla zbiegów. Kryli się też po lasach i w zbożu, gdzie ich jeszcze trudniej było znaleść, jak w lesie, jeżeli tylko włażąc w zboże nie zostawiali śladów za sobą. Pożywienia im nie brakło, czuwały nad tem ich żony, siostry lub kochanki, i tak spędzali nieraz tydzień, dwa tygodnie i więcej, aż póki nie dano im wiedzieć, że już ktoś padł ofiarą poboru, że już złapano kogoś i zawieziono do komisji. Wtedy najspokojniej wracali do wsi i po chwilowej tragedji znowu wracała sielanka pańszczyznianego jeszcze wówczas życia wiejskiego.

Pobór naprawdę był tragedją. Być wziętym „w moskale“ znaczyło trochę mniej, jak rozstać się z tym światem, ale tylko trochę. Owszem służba wojenna w Rosji tyle lat liczyła,*) że chłop wzięty w rekruty rozstawał się na wieki z tym całym światem, w którym dotychczas wyłącznie żył, wśród którego się urodził, wyhodował, wyrósł i który po swojemu kochał całą siłą ślepego przyzwyczajenia. Bardzo rzadko się zdarzało, przynajmniej w naszych prowincjach, aby żołnierz, wysłużywszy swoje lata, powracał do wioski rodzinnej. A gdyby zresztą powrócił, znalazłby już tam nowych ludzi, i sam byłby dla nich cudzym, obcym człowiekiem, „moskalem“.

Otóż przyszła do nas bumaga, że trzeba brać rekruta. Rozkaz ten, w każdym dworze niemile witany, dla nas był szczególnie uciążliwym i niemiłym. Matka od śmierci ojca sama gospodarowała przy pomocy jednego z moich starszych braci, który jednak za młody był, aby mógł dostateczną mieć w obec ludu powagę. Gospodarstwo przytem nasze było bardzo małe, obejmowało zaledwie trzydzieści dusz, licząc podług ówczesnego sposobu. Z tych trzydziestu dusz różnej płci i różnego wieku zaledwie kilku się nadawało do służby wojennej, wybór więc był trudny, nie tak jak gdzieindziej, gdzie wybierano z dziesiątków i z setek. Przy wyborze, przynajmniej u nas, chodziło o to, aby oddać ze wsi najgorszego człowieka, ale też zarazem i najmniej potrzebnego swojej rodzinie. Nie zawsze oba te względy szły w parze z sobą i ztąd przykre kolizje.

*) Najmniej 25 lat.

Miałem wówczas lat dziesięć i dobrze pamiętam, jaka zmora osiadła na dworze, gdy nadeszła chwila poboru. Szczęściem nie trzeba się było długo namyślać nad wyborem rekruta: z pomiędzy kilku młodszych włościan, zdolnych do służby wojennej, jeden tylko Dawid postępowaniem swojem ściągał na siebie niechęć dworu i całej wsi. Był złodziejem i pijakiem i co za tem idzie, niedbałym gospodarzem. Konie jego najczęściej znajdowano w szkodzie, na niego najczęściej szły skargi do dworu; nawet z magazynu gromadzkiego umiał wykradać zboże prześwidrowując dziury w podłodze. Miał wprawdzie Dawid żonę, ale i tej dawał się we znaki. Oddawna już było tajemne postanowienie, że w razie poboru on ma być oddany do wojska. Chodziło tylko o to, aby nie uciekł. Ale szara bumaga urzędowa, przyniesiona z miasteczka przez dziesiętnika, nie zdradziła swej tajemnicy, i wieś wieczorem dnia tego wyglądała równie spokojnie, jak zawsze, kurząc się błękitnym dymem nad omszałemi strzechami i migocąc przez otwarte drzwi chat dużym ogniem w piecach. Równie spokojnie i ociężale, jak zawsze, siedzieli na przyzbach gospodarze, oczekując wieczornego posiłku, wieczorna cisza zapadała nad wioską i tylko gdzieś z daleka cichem i czystem powietrzem płynął głos chłopięcia, nawołującego zagubione źrebię.

Nazajutrz wezwano do dworu na pańszczyznę kilku starszych chłopów, a wraz z nim Dawida. Przyszedł nie domyślając się, o co chodzi. W stodole brat mój w asystencji gumiennego objawił chłopom rozkaz rządowy i wskazał na Dawida, jako przeznaczonego na rekruta. Był to wybór po myśli całej wioski, z ochotą więc niemal przyjęli ten wyrok. Dawid był skonsternowany, ale nie zadziwiony; wiedział on od dawna, że jak przyjdzie pora, to jego, a nie kogo innego, oddadzą w rekruty. Czuł przytem, że nikt się za nim wstawiać nie będzie: poddał się więc bez oporu swemu losowi, żałośną tylko przybrawszy minę.

Nastąpiła scena, którą doskonale pamiętam; patrzałem na nią z okien domu, z głębokiem zadziwieniem i wstrętem i dla tego zapewne tak mi utkwiła w pamięci. W tej części dużego dziedzińca naszego, która przytykała do budynków gospodarskich, leżało dużo kłód, zwalonych jedne na drugie. Były to jakieś kłody zapasowe, może przeznaczone do naprawy budynków, bo wiem, że leżały tam od niepamiętnych czasów nieruszane, chociaż się przy nich często rąbało drzewo na opał. W szparach między kłodami sterczały rosnące pod ich opieką pokrzywy, a nawet bodiaki znalazły tam dla siebie miejsce i wyglądały na świat strzępiastą czerwienią. Było to jedno z ulubionych miejsc moich, gdzie wyprawiałem różnego rodzaju skoki i gonitwy, gdzie uzbrojony prętem znosiłem całe armie urojonych nieprzyjaciół, oblęgałem i zdobywałem niezdobyte twierdze, dokazywałem cudów męstwa i odwagi, i w ogóle zarabiałem sobie w swoich oczach na sławę nic a nic nie mniejszą od sławy Aleksandra Macedońskiego i Napoleona. Trudność biegania i skakania po kłodach wiele się naturalnie przyczyniała do uroku walki, a rosnące w szparach i po brzegach pokrzywy i bodjaki doskonale reprezentowały zaczajonych nieprzyjaciół, którym się też siła pręta mego w całej potędze czuć dawała.

Otóż na tej niemal codziennej arenie moich bohaterskich czynów ujrzałem następującą scenę: Na jednej z kłód siedział ze spokojną już, jak się zdawało, miną Dawid, i trzymał nogi wyciągnięte przed siebie. Przed nim jakiś starszy chłop wycinał w rozrąbanej kłodzie zagłębienia, które przymierzał do nóg Dawida z flegmą szewca biorącego miarę na buty. Nie zrozumiałem z początku o co chodzi, i zapytałem klucznicy, przechodzącej przez pokój, co oni tam robią?

— Robią dyby na Dawida, żeby nie uciekł — odpowiedziała konfidencjonalnym tonem długa i sucha klucznica.

Dyby! Słyszałem nieraz to słowo, i znanem było mi ogólnikowo jego znaczenie, ale dokładne wyobrażenie o nich dopiero teraz powziąć mogłem. Dawida zarówno z innymi nie lubiłem i nie żałowałem wcale, że go we wsi zabraknie, przecież widok człowieka zamkniętego w kłodzie wydał mi się czemś niesłychanie potwornem. Uczułem na własnych nogach ciężar i twardy, drewniany uścisk dybów. I trzebaż było, żeby ta oburzająca robota odbywała się na moich kłodach, żeby te właśnie kłody, na których tyle rycerskich spełniłem czynów, takiego barbarzyńskiego doczekały się użytku! Instynktem uczułem straszną ironję rzeczywistości i wybiegłem do ogrodu, który był po drugiej stronie domu, aby nie patrzeć na widok, co mi tak ciężką sprawiał przykrość.

Dawida do czasu wywiezienia umieszczono w piekarni, gdzie nań nałożono dyby i gdzie go po kolei pilnowali starsi wieśniacy. Zdaje się, że jeden z nich był w porozumieniu z więźniem, gdyż odszedłszy odeń na chwilę, zostawił o parę kroków od niego siekierę. Dawid, który zapewne umyślnie okazywał wielką rezygnację, aby uśpić wszelkie podejrzenie, zostawszy sam, sięgnął natychmiast po siekierę i jednym zamachem odciął sobie wielki palec u prawej ręki. Tak się kalecząc, ratował od służby wojennej.

Wiadomość o tem przeraziła dwór i lotem ptaka obleciała całą wieś. Przed dworem odsłaniała cały szereg nowych kłopotów, dla wsi była groźną przestrogą Sprowadzono lekarza, opatrzono ranę i postanowiono spróbować szczęścia i stawić Dawida przed komisją, chociaż nadzieja była nadzwyczaj mała. W istocie nie przyjęto Dawida i potrzeba było innego dać rekruta i to co rychlej, gdyż już termin przepisany upływał.

Ale skąd go wziąć było? Kto tylko czuł, że może być wzięty do wojska, umykał ze wsi. Żniwa się jeszcze nie były zaczęły, wysoko wznosiło się zboże, nic łatwiejszego, jak się w niem schować. Nawet Petryk uciekł, choć nikomu na myśl nie przychodziło, aby go oddać w rekruty. Jak Dawida cała wieś nie lubiła, tak Petryka wszyscy lubili we dworze i we wsi. Dziwna jakaś świeżość i pogoda wiała od tej hożej postaci dwudziestoletniego młodzieńca i ujmowała wszystkich dla niego. Nie mogłem być wielkim spostrzegaczem, a jednak zauważyłem, że dziewczęta lubiły się zapatrywać na jego rosłą i kształtną figurę, na jego bujną, jasną grzywę w pierścieniach na czoło spadającą, na jego twarz okrągławą ze złotym jakimś połyskiem, z której patrzało dwoje wesołych i uprzejmych oczu błękitnych. Prócz ogólnej sympatji miał Petryk inne jeszcze plecy za sobą; był bratem naszego woźnicy Ignacego, właściwie Hnatka, człowieka trzeźwego, statecznego, na którego we wszystkiem spuścić się można było, a który tem większej używał powagi, że chyliło się ku niemu

serce naszej klucznicy, niemłodej panny Petronelli, gotowej dla zadość uczynienia potrzebom serca zstąpić na jego poziom z wysokości swego szlacheckiego rodu. Sam Petryk był także przy dworze i pełnił rozmaite niedość wyraźnie określone funkcje, z których najważniejszemi były stajenne zajęcia.

Co się mnie tyczy, lubiłem Petryka bardziej niż kogokolwiek z dworskich ludzi, a to nietylko dla miłej powierzchowności jego i życzliwego obejścia; była inna jeszcze bardzo ważna przyczyna. Do Petryka w zimie należało palić w piecach we dworze, przynajmniej w dwóch głównych piecach, w których paliło się z ciemnej kuchenki umieszczonej w środku domu. Czy miała ta kuchenka dawniej inne jakie przeznaczenie, odpowiednie nazwie, jaką nosiła, nie wiem tego. Od czasu, jak zapamiętam, nic się w niej nie gotowało i czasem tylko bardzo rzadko, smażono w niej konfitury, na wielkim jakby ołtarzu kamiennym, który się pośrodku niej wznosił. W dzień było w niej prawie tak samo ciemno jak w nocy, ale zkądże się tam mogła była wziąć jasność? Maleńka garstka światła padała z góry przez komin, bezpośrednio z kuchenki wychodzący, a drugą szczyptę światła pożyczała sobie, przez kilka drobnych i zakopcowych szybek szklannych we drzwiach, z dużej wprawdzie ale porządnie ciemnej sieni. W tej to kuchence Petryk codzień zimą wieczorem palił w piecach, naznosiwszy do każdego pieca po kilka lub kilkanaście snopów słomy, którą się u nas zwyczajnie paliło, z naszych bowiem rzadkich gajów brzozowych i olchowych mała była pod względem opału pociecha; słomy za to wbród.

Bardzo lubiłem przypatrywać się temu, jak palono w piecu i jak tylko zdarzała się sposobność, pomykałem do kuchenki do Petryka, siadałem obok niego na kulu słomy i od czasu do czasu upraszałem sobie z rąk jego ożóg, aby nim obrócić w piecu i podnosząc szmaty nawpółstlałej słomy rozjaśnić nowymi płomieniami ceglaną paszczę pieca i czarne zakopcone ściany kuchenki. Nie to jednak ciągnęło mnie najbardziej w to miejsce do Petryka. Umiał on opowiadać bardzo ładne i ciekawe bajki, pełne zaklętych królewien, wędrujących królewiczów, skrzydlatych koni, rybek stających w przygodzie i tych wszystkich cudów, jakiemi nasza bajka ludowa migoce. Czy miał szczególny dar opowiadania? Nie wiem; być może, że go nie miał. Dziesięcioletnia wyobraźnia moja nie potrzebowała wielkiej pomocy do tworzenia najjaskrawszych obrazów, a przytem bajki ludowe opowiadają się zwykle jednemi i temi samemi słowami i opowiadający mało ma sposobności do wtrącania własnych dodatków. To pewna jednak, że jakkolwiek nasłuchałem się wielu bajek od innych osób, żadne nie sprawiały mi tyle rozkoszy, co bajki opowiadane przez Petryka, nigdy tak barwne i żywe nie stawały przedemną obrazy, jak te, które wyobraźnia moja, pobudzona słowami jego, kreśliła na czerwono-złotem rozwichrzonem tle ognia i czarnych w rumianym zmroku tonących ścianach kuchenki. Prawdopodobnie miejsce, pora i ogień tak szczególnie nastrajały moją wyobraźnię, ale ja o tem nic nie wiedziałem i Petryk był dla mnie jakby czarodziejem, a jego zasmolony ożóg — laską czarnoksiężnika. (Dok. nast).

LEONARD CHODŹKO
I JEGO PRACE

KRÓTKI RYS BIOGRAFICZNY I NAUKOWY

Skreślony przez

Aleksandra Wernickiego.

(Ciąg dalszy).

XXIII.

Otóż gdy mowami obchodu 1832 drukowanemi i odezwą powyższą, zarówno też jak i rozgałęzieniem kółek podrzędnych towarzystwo wpływało na pojęcie stanowiska Litwy i Rusi, równocześnie musiało się porozumiewać i z rodakami niechętnymi. Dla tego to z 20 sierpnia wydało do nich odezwę podpisaną przez Platera Cezarego, przewodniczącego, i *Chodźkę*, pisarza (sekretarza) a w niej jak najdobitniej określa swe pojmowanie sprawy narodowej. „Po okropnej walce, której przewodnicy nasi dość morderczą a zatem stanowczą, być nie dali, po tej walce przez którą ogłosiliśmy światu nieśmiertelność Polski, ofiarami i męstwem okupione zwycięstwo raz jeszcze wydarte nam zostało: *ale nie masz siły, któraby nas zniszczyć mogła,* Równie jak powstanie, emigracja nasza narodowa jest nieprzerwanym ciągiem naszego politycznego życia. Emigracja nasza, stanowi ten wątek nieoceniony, który zawiązany przez konfederację barską, przez art 64 różne przetrwawszy koleje, coraz się dzielniej rozwijał, *coraz więcej nabierał mocy, z którego ma być wysnutem odrodzenie drogiej Ojczyzny naszej; tego więc wątka rozrywać nie wolno.* Tlejącą iskrę naszego życia nie każdy z osobna tułacz, ale wszyscy razem pielęgnować, wszyscy razem podniecać powinniśmy. Pozawiązywane przez was towarzystwa rozmaite dowodzą żeście tę prawdę uznali. *Uczuli ją Litwini i Rusini, którzy wraz z wami rodzinną opuścili ziemię.* I Litwini z Rusinami zawiązali towarzystwo litewsko-ruskie, aby *ogłosić światu, że Ruś i Litwa dzielą los Polski, że nie masz Polski bez Litwy i Rusi, że i Ruś i Litwa jest Polską.* A wypowiedziawszy, że dążność do pracy i ułatwienie rodakom „sposobów doskonalenia się w naukach i sztukach“ były celem towarzystwa, autorowie odezwy dodają: do dzielenia prac naszych wzywamy was wszystkich zacni towarzysze tułactwa! *Niech zkikną raz na zawsze wszelkie odcienia prowincji i stronnictw; jesteśmy wszyscy Polakami, wspólność uczuć, poświęceń i potrzeb niech nas nierozdzielnymi uczyni,* a natenczas silni jednością i zgodą, rozszerzymy obręb działań naszych i prędzej się z upadku podźwignąć zdołamy. Niech wszystkie dotąd istniejące i zawiązać się jeszcze mogące towarzystwa, przez wzajemne między sobą, *szczere i bratnie znoszenie się, użyczą sobie wzajemnej pomocy,* a w skutkach swoich utworzą jedno towarzystwo tułaczów polskich, *w któremby tylko po nazwisku Ruś i Litwę rozpoznać można było, po nazwisku, które nie dla nas ale dla świata zachować nam trzeba, aby niem ciągle przypominać jakie to kraje Polskę składają, jakie to kraje chcą być i być muszą wolną, całą i niepodległą Polską.*“

Odezwa ta stanowczo ustaliła zapatrywania się na sprawę prowincjonalizmów i uznanie nieprzeszkadzania jedności narodowej miejscowych odcieni. Słowem, że towarzystwo wypowiedzeniem tem rozstrzygnęło sprawę litewską i ruską ze swego stanowiska. Dla większej propagandy zaś tych zasad, ogłoszono kilka wydań drugiej odezwy z 23 sierpnia 1832, na której podpisani oprócz C. *Platera* i *Chodźki*, jeszcze J. *Lelewel*, S. *Różycki*, J. N. *Umiński*, E. *Staniewicz*, A. *Jełowicki*, S. *Worcell*, F. *Szemioth*, A. *Gorecki*, A. *Mickiewicz*, J. *Straszewicz*, A. *Kołyszko* i inni. To już skromne towarzystwo literackie przemawia daleko poważniej i śmielej: „Jeszcze raz bracia wasi niepokalane prawa i honor swojego narodu z sobą unosząc, opuścili rodzinną ziemię, aby pomnażać liczbę mścicielów naszych, *aby krzywdy nasze dojrzewającemu światu ogłosić, ażeby wszystkie sprężyny odrodzenia naszego zarazem poruszyć....* Sejm i wojsko opuściły ukochaną ojczyznę; *wyrótce sejm usłyszycie: wojsko jak z ojczyzny wyprowadzonem zostało; tak do niej niewątpliwie wróci, wróci z bronią w ręku....* Nasz przykład i wasze nieszczęście, obudziły w narodach samych siebie uczucie, uczucie godności i siły, żądzę wolności i samoistnienia. Nasza *walka i nasz upadek są tylko krwawem wypowiedzeniem walki, na śmierć, wolności z despotyzmem, walki, której żadna taktyka dyplomatyczna odwrócić nie zdoła.* Tak jest, bracia nasi, *chwila zemsty niedaleka.*“

Przebiegając dla czego emigranckie działania muszą być wspólne, dodaje odezwa:

„Oto są powody, dla których Litwini zgromadzeni we Francji założyli tow. litewskie, które za przybyciem Rusinów zamieniło się na tow. litew. i ziem ruskich. I kiedy wy w pośród cierpień waszych nieustraszeni okrucieństwem tyrana, pielęgnujecie waszą narodowość i uczuciami polskiemi nowe zapalacie pokolenie; *tow. lit. i ziem rus. ma na celu zajmować się losem nieszczęśliwych tułaczów, ułatwić młodzieży naszej nieodzowne ćwiczenie się w naukach i sztukach,* wyjaśniać dzieje ostatniego powstania.... upominać się wszelkiemi drogami o wolność, całość i niepodległość *dawnej Polski, dawać istotne wyobrażenie o naturze naszego kraju.*“ Po zawezwaniu do składek na kształcącą się młódź, ostatecznie mówi odezwa do krajowców: „*Serca wasze nie ostygły z tej radości, którą was niesione dla ojczyzny przejęły ofiary.* I dopóki taką miłością ojczyzny zagrzani Polacy, narodowe cnoty hartować, zapał wzmacniać, nadzieję krzepić i ofiar składać nie przestaną, dopóty *Polska nie zginęła.* Bracia! miło nam was pozdrowić i upewnić, że choć rok mija od nieszczęsnego upadku naszego, *nadzieje w nas rosną, wytrwałość się wzmaga Gotowi cierpieć i umrzeć, chcemy tylko ojczyzny i waszego szczęścia.*

Było to ostatnie wystąpienie ważniejsze towarzystwa litewskiego i ruskiego. Odtąd ono coraz mniej daje znaków życia i po wypędzeniu Lelewela, Chodźki i wyjeździe Platerów, daje jeszcze znaki sennych poruszeń w obchodach nabożeństwa w 25 marca po kościołach. Lecz koło 1838 i ta słaba oznaka życia znika i towarzystwo jakby się rozpłynęło nie rozwiązawszy się urzędownie; lub też wlało się do towarzystwa literacko-historycznego założonego przez Niemcewicza i Czartoryszczyznę.

Śmiało więc można powiedzieć, że wydalenie Lelewela, Chodźki i Platerów zadały towarzystwu ostateczny cios, a późniejszy powrót Chodźki już nie mógł je natchnąć życiem.

XXIV.

Nie ulega wątpliwości, że ile razy się uśmiechał słaby promyk nadziei odbudowania rzeczpospolitej, tyle razy rozbudzało się życie na wychodźtwie. A każda chwila takiego przebudzenia była powodem nowych pojęć, lub rozwinięciem przekonań postępowych. To też koniec roku 33.

był chwilą oddziaływania przeciw dyplomacji i położenia pomnikowego kamienia na cmentarzu naszych przedpokojowych dyplomatów. Wtedy to dogorywający komitet narodowy ustanowił *komisję*: któraby zbadała mandat udzielony jeszcze w 31 roku przez niektórych członków z Burż Czartoryskiemu do prowadzenia naszej sprawy. Już 5 listopada 1833 komisja centralna Polaków w Dep. *Landes* pisała do ogółu stowarzyszonych: „Przesyłam wam.... projekt do protestacji przeciwko patentowi Czartoryskiego. Lubo była decyzja ogółów aby protestacja ta umieszczona była w pismach francuskich, jednakże komisja zważając, że rzecz ta jest zupełnie domowa....., że gabinety nie opuszczą Czartoryskiego, chociaż my mu patentu odmówimy, *że ludy jak się śmiały tak i śmiać się będą ze wszelkich intryg gabinetowych*, że umieszczając w pismach francuskich odkryjemy głupstwo, jakieśmy popełnili dwa lata temu, głupstwo o którem nie wiedzą ludy Europy“, więc protestację miano zamieścić po polsku.*)

Rada z Burż pisała: Głębokie znawstwo dyplomatycznych operacji, rozległe stosunki gabinetowe, tylko w twoich dzisiaj książę rękach się znajdują, Ciebie więc tułactwo nasze prawie jednomyślnie zaprasza, abyś na tej drodze w obec władzców Europy upomniał się o życie całej i niepodległej ojczyzny naszej.“ Na razie słowa te pominięto milczeniem, chociaż bezczelne pochlebstwo kilku stronników, osłonięte płaszczem ogółu wychodźtwa razić by powinno, — w chwili rozbudzenia życia przejść to płazem nie mogło; tem bardziej, że dyplomacja dawała się we znaki wszystkim. To też w protestacji znajduję te piękne słowa i z prawdziwą godnością napisane: „Nie narzekajmy zbyt krzykliwie; w myślach ludzkich taki sam porządek i następstwo jak i w martwej naturze. Na starej warstwie tworzy się nowa i na tej utworzy się jeszcze nowsza i tak dalej, a w jednych skałach znajdziesz skamieniałe kości ludzkie, w drugich muszle, w trzeciej znowu co innego, a żadne do siebie niepodobne. Toż samo dzieje się z myślą ludzką, monarchje, dwory, mitry i szlachectwo były kiedyś świeżemi warstwami, dziś zacierają się powoli i na nich utworzy się nowa warstwa, bo w organizmie natury jest ruch, któremu nic oprzeć się nie może.“ Zapatrując się z tego stanowiska na życie i ruch wychodźtwa, trzeba było wyznać, że były osoby „co pisały w dobrej i prostodusznej wierze, były drugie co wiedziały, że piszą herezje, kłamią w oczy czasowi i ludziom,“ inni zaś „wzruszali ramionami na te fałsze na świeżym pisane pergaminie.“

Ustęp ten skonfiskowala c. k. Prokuratorja Państwa.

Książę sam już czuje, że czas jego przyszedł, wyznaje że dzisiejszego stanu rzeczy nie rozumie“... więc wniosek ztąd, by oddał pełnomocnictwo. Podpisali tę protestację *Drzewiecki* przewodniczący, *Słowicki* i 64 Polaków, a śród nich znajdują się imiona Dąbrowskiego Kaz., Waler. Dzwonkowskiego, *Malinowskiego*, Michałowskich, Raciborskiego i innych. Walka ta podniesiona była w chwili gdy Chodźko pisał do Oleszczyńskiego*): „Podwójny wygnaniec ścigany i prześladowany z tak nazwanej *Bożej łaski* samodzierżcy Mikołaja I, z tak nazwanej woli narodowej króla Ludwika Filipa, i z *samowolnej* woli arystokracji polskiej i jej pieczeniarzy, przerywam dość długie milczenie.“

„Cóż pomyślą w Paryżu iż w dniu dzisiejszym 700 najcnotliwszej naszej braci z Gdańska, a trzysta z Tryestu wypchniętych zostało na burzliwe listopadowe fale Bałtyku i Adrjatyku! Tysiąc obywateli republikanów przecierpiawszy tysiąc męczarni od Brandeburczyka i od Austrjaka, rzuceni na przestworze Oceanu, czczą dzisiaj na powierzchni tej otchłani trzecią rocznicę, gdy może w Paryżu, w tej samej chwili, wznoszą się głosy na cześć reprezentanta arystokracji i na cześć rządu Filipowego! Intrygami dzisiejszego szefa legji, na papierze Donny Marji portugalskiej (Bema) i jego popieraczy, czyli protektorów, (Kniaziewicza i Czartoryskiego), 700 braci gdańskiej pływa dzisiaj po morzu; bo gdyby nie te intrygi wysłańcy komitetu centralnego franko-polskiego i amerykańskiego, połączyliby w jedną rękę 50.000 fr. i te by dostateczne były na przeprowadzenie przez niechętne ziemie brandeburgskie tych 700 obywateli, co tak dzielnie wzgardzili wszelkiemi amnestjami.“

Rzeczywiście, gdy nasi rodacy płynęli sami nie wiedząc dokąd, zawdzięczając panom, Chodźko jakby przeczuwał, co miało się stać w Paryżu. Tam nastąpił w pomieszkaniu Lafayetta ten skandaliczny obchód, długo nie strawiony przez arystokrację.

Niemcewicz zdziecinniały wyrznął mowę na cześć naszej arystokracji i Czartoryskiego. Wtedy to Piotr *Semenenko*, dzisiejszy zmartwychwstaniec, nie wiele umiejący po francusku, pod te czasy wygłosił nauczoną na pamięć mowę, wykazując rzeczywistych grabarzy sprawy. Rozpłakał się stary Niemcewicz z tego szkandalu. Lafayette, co dotąd chwalił Czartoryskiego, jako wybitną osobę w powstaniu, zdumiał się, a arystokracja postanowiła nienarażać się na obchody razem z demokratyczną i republikańską hołotą.

Po tem sprawa protestu nabrała coraz większej wagi i w późniejszym czasie doprowadziła do sławnego aktu, podpisanego przez 3076 wychodźców potępiających monarchizm polski, dyplomatów porozbiorowych i przedstawicieli tego dążenia — Czartoryskich z całym ogonem swoich popieraczy; do listu otwartego Konopskiego (J. N. Janowskiego); do broszury jego „*Król de facto*“— nareszcie wbrew zdrowemu rozumowi, walka ta dała głosy na członka komitetu późniejszego zjednoczenia J. B. Ostrowskiemu.

W niej też biorąc udział, Chodźko napisał po francusku ustęp wyświetlający pochodzenie repninowskie księcia Adama, co cała lokajska hołota darować mu nie mogła i za co pewno by postradał gdyby Praniewicz z Bystrzonowskim i im podobnymi byli wstanie ujrzyć rzeczywistego Adama I. namalowanego tylko w ich pamięci, papierowych koronach i *roczniku emigracji polskiej.*

Nie darowywał też i Chodźko napadów na siebie. Pisze on do Oleszczyńskiego: „Zgłębiając... tajniki działań ludzkich... spoglądam na nowe zło, jakie wychodzi z kuźnic miłośników przywilejów i nadużyć. Są, co powiadają, że wypadki nie powtarzają się, a z tem wszystkiem nasze ostatnie 70 lat są ciągłem i temsamem powtarzaniem wad i intryg naszej arystokracji, lub tych co do niej przyczepiają się. Ileż to naczelników cywilnych i wojskowych, przysięgających po kilkakroć zagrzebać się w ruinach ojczyzny, żyją i intrygują po dziś dzień, gdy *też ruiny zagrzebały tych jedynie, co bez przysiąg i ostentacji. za nią pomierali.* Jak się to dzieje, że tylu różnych naczelników w obec niesłychanych prześladowań, swobodnie używa wolności i protekcji, gdy tak wielka liczba innych obywateli jest ściganą i dręczoną? Gdy fakta i cyfry tak wyraźnie mówią, cóż znaczą obrony i narzekania na mniemaną potwarz?“

A jeżeli w Paryżu zaczynało powstawać i organizować się coraz ściślej towarzystwo czy koło monarchiczne, to znowu w Anglji będąc, Chodźko dobitniej wypowiada swe przekonania republikańskie w listach do przyjaciół: „Jeżeli ty, kochany Antoni i nasz przyjaciel Wojciech *Sowiński*, nieraz ubolewaliście nad mojem położeniem politycznem, jestem przekonany, że dzisiaj częściej może o tem rozmawiacie.... Moc wypadków i okoliczności porwały wszystkich Polaków do działania; a godziłoż się zostać nieczułym widzem tych przeważnych wypadków? Pozostałem wierny, w najdrobniejszych szczegółach, *zasadom prawdziwie narodowym polskim, republikańskim, zasadom jakim wierni byli przodkowie nasi, od tylu wieków*; i dla tego ja i tylu innych ziomków tułamy się i Bóg wie gdzie się oprzemy jeszcze! Bo ani nasi nieprzyjaciele, ani my, nie odstąpimy, każdy ze swej strony raz przyjętych zasad! Nie traćmy nigdy z pamięci wieszczych owych słów „Stanisława Kostki *Potockiego* o A. Mokronowskim....“ „Polacy! ci cochcą śród was usprawiedliwić swe troski o sprawy powszechne, nauczą się przykładem Mokronowskiego, że w jak okropnem położeniu nie znajdywanoby się zawsze usiłowania obywateli do służenia ich ojczyźnie w jakich bądź okolicznościach nie zostaną bezużytecznemi, i jeżeli nie można dla niej zrobić wszystkiego co się pragnęło, to nic nie robić jest to stać się występnym.... Obowiązkiem obywatela każdego jest robić dobrze, skutki od nas nie zależą, one zawsze są dziełem losu.“ “

W tym liście mówiąc o swych pracach, Chodźko dodaje, że doprowadzi je do końca, „lub schodząc z tego świata, zostawię przygotowane roboty, ze wszelkiem staraniem dla dokończenia przez tych, którzy godni będą objąć moją spuściznę literacką i *poczciwie, po republikancku ogłoszą owoce z materjałów* od wielu lat troskliwie zgromadzane.“ Lecz wróćmy do Francji.

XXV.

Przy zaczęciu nowego roku, dając sprawozdanie z ubiegłego 1833, Armand *Marrast* malował stan Francji w bardzo niepochlebnych kolorach.*) Przebiegłszy całą Europę, mówi: „A tak z żadnej strony nie ma nic stałego, wszędzie ruch, wszędzie wojna! *między królami sprzeczne interesa, między narodami sprawy wspólne.* Jedyną rzeczą do uskutecznienia, to ogólne wykształcenie i to jest powołaniem Francji. Lecz ta Francja, gdzież ona? Zajęta dawaniem lekcji światu ona pozwala siebie krępować, władzą najhaniebniejszą! Cierpliwość ludu zdaje się nie wyczerpaną. Codziennie nowe

*) Podpisany na odezwie *Słowicki* z polecenia komisji.

*) List L. Chodźki z Anglji 28 list. 1833 do Antoniego Oleszczyńskiego w Paryżu.

*) *La tribune.* 1. Jenviers 1834 Paris. Reflexions politiques.

gwałty na zdrowym umyśle i moralności powszechnej, na wolności obywateli. Prześladowania, ucisk drobiazgowy przysposabiają zupełniejszy system. Policja bije, oczekując że przyszłe ustawy dadzą jej prawo bicia; są czyny, które zmuszają z powodu ich tolerancji rumienić się nawet ich znoszących. Są co przechodzą wszelką tolerancję, a które mimo to znoszą!... Jak długo potrwają te złe dnie? One krótko trwać będą jeżeli będą jeszcze gorsze; one potrwają daleko dłużej jeżeli królewskość będzie mogła ich skarcić. Na szczęście nie dano rządom jak i ludziom, odmiany swej przyrody. Dajcie nam monarchję gwałtowną, lecz wyniosłą i dumną być może ona sama się zbawi.... Lecz brutalna i występna, rozrzutna pieniędzmi kraju, łakomego własnego grosza, głośno wypowiadająca swoje sobkowstwo, rozwijająca w ludzie najnikczemniejsze dążności; monarchja bękarcia rewolucji i starsza córa legitymizmu, rodzaj mięszaniny bezimiennej, systemu bez zasad, masz się nazywać *juste-milieu*, bo nie ma ani wierzchołka, ani podstawy.... nareszcie musi być trucizną"....

Taka monarchja długo trwać nie mogła. Wcześniej lub później musiała się przemienić na postępowszą, inaczej by musiała upaść bezpowrotnie. Lecz na schyłku tego porządku rzeczy i jakby w zaraniu nowych reform w rządzie umiera Lafayette. Śmierć ta jeżeli wywarła smutny wpływ na stronników naszej sprawy, której głównym obrońcą był stary Lafayette, to znowu rządowi wykazała, że już dawny jego przyjaciel, mający wpływ na umysł jenerała, Chodźko we Francji nie będzie mógł pozyskać dawnego wpływu. To rządowe uspokojenie się i konieczna potrzeba ustępstw dla narodu spowodowały, że Chodźko począł robić starania o powrót do Paryża. Prawda, że jeszcze za wstawieniem się posła moskiewskiego zabroniono Polakom wszelkich manifestacji na cześć Lafayetta, jak dawniej na cześć *Lamarque*'a, jednakże powrót niektórym wypędzonym stawał się możebnym. W liście do syna zmarłego wyznaje L. Chodźko, że śmierć „ta najboleśniej uderzyła moje serce. Moje życie młodego człowieka wykształciło się przyjaźnią i dobrocią jaką zaszczycał mnie wasz szanowny ojciec, całe moje osamotnienie było osładzane jego względnością i ojcowską protekcją; jeżeli mi raczył dać tyle dowodów ufności w chwilach stanowczych, jeżeli mi raczył powierzyć swą osobę to dla tego, że miałem szczęście należeć do narodu, którym on zachwycał się i poważał najwznioślejszem uczuciem.... Polska i Polacy na stare dni Lafayetta były tem, czem Ameryka w dnie jego młodości, czem była dla niego Francja we wszystkie epoki nieporównanego jego zawodu.

Od 70 lat Ameryka, Polska i Francja najwięcej poświęciły w walce o wolność przeciwko despotyzmu i te trzy narody były nagrodzone dając dnie trzem największym obywatelom nowożytnych czasów.... a napełnili oni świat sławą czystą i nieśmiertelną i potomność nie rozdzieli nigdy tych trzech imion: Waszyngton, Kościuszko i Lafayette..... Ameryka i Francja, z całem ich bogactwem i ich środkami, może odlewać z bronzu, wyciosywać z granitu, dłutować z marmuru posągi tym wielkim obywatelom; dla nas Polaków, biednych wygnańców, zostają tylko serca wdzięczne. Wznieśmy więc pomnik, który się oprze burzycielstwu ludzi i czasów. Kościuszko ma pomnik wzniesiony u bram Krakowa. Cóż nam pozostaje do roboty? niech i pomnik Lafayetta będzie wzniesiony u bram Paryża, rękami Polaków wygnańców i tułaczy i przez wychodźców innych narodowości, ofiar tegoż oddania się i bronionych i kochanych przez Lafayetta tą samą miłością. Niech więc pozwolą wychodzić wychodźcom, pod zapewnieniem ich świętego słowa i przed miesiącem 6.000 wychodźców wzniosą wielki kopiec, który będzie nazwany *górą Lafayetta*...... a dwóch wielkich obywateli Europy będą mieli dwa pomniki odpowiedne, podobnież jak oni, byli związani z sobą swemi życzeniami, myślami usiłowaniami ku wyswobodzeniu starego lądu. Czyż będę mógł urzeczywistnieć te marzenie; czy będą mogli wygnańce, wracając kiedyś ze swego pielgrzymstwa, powiedzieć: przyłożyłem się do wzniesienia kopca Lafayettowi." Jednakże to marzenie Chodźki nie ziściło się. Rząd zabronił podobnych pielgrzymek polskich do Paryża dla sypania nieznanych we Francji kopców i Lafayette nie ma odpowiedniego grobowca. Swoi mu podobnego grobowca nie usypali, naszym więc nie było po co, mówiąc prawdę, robić pielgrzymki do Paryża dla jego usypania.

Z listu tego widać, że L. Chodźko miał zamiar również napisać po polsku historję Lafayetta, pierwszego grenadjera gwardji warszawskiej. Jednakże i ten zamiar nie dał się urzeczywistnić.

Zaraz po tym liście zaczęły się starania o powrót Chodźki do Paryża i w parę miesięcy wyrobiono pozwolenie. (C. d. n.)

Babie lato.

W gasnących blaskach jesiennego słońca,
Przez wyszarzanych błękitów przestrzenie,
Moc srebrnych włókien snuje się bez końca,

Kto, gdzie, je przędzie? Jaki akrobata
Benefisowe dając przedstawienie,
U lin tych zwieszon, pod strop chmur ulata?

Jaka gdzie nimfa rozczesuje włosy,
I rozgniewana posiwiałych mnóstwem,
Garścią wyrwanych ciska pod niebiosy?"

Lub też, gdzie anioł litościwy jaki,
Nad tylu sierot rozżalon ubóstwem,
Dla opuszczonych szyje powijaki?

Snują się włókna, jak na motowidła
Wijąc się w koło spotkanych przedmiotów:
Na wiatrakowe najeżone skrzydła,

Na drąg żurawia u sielskiej krynicy,
W koło strzech mszystych, krzewin, dyłów, płotów,
W krąg krzyżów cerkwi i gałek dzwonnicy,

I rzekłbyś oto, iż natura cała,
Zachodom prządek tajemniczych rada,
Właściwy porze tuman skroni zwiała.

Gdyby nie nagie szkielety drzew w gaju,
I nie toń nieba za wymokło blada,
Mógłbyś przez chwilkę w powrót wierzyć maju.

Gdzieś od zwrotników widać zabłąkany
Ciepły prąd wiatru przemknął po nad ziemią,
Rój zwiędłych liści w skoczne wiodąc tany.

Kmieci na przyzbę nęcąc po przed chatę,
I z snu zmarłego którym gdzieś już drzemią,
Cucąc komarów zastępy skrzydlate,

W swej filozofją tryskającej mowie,
Ludek nasz prosty nie bez słusznej racji,
Tę porę roku „Babiem latem" zowie.

„Babie" to „lato" tak złudne, niestety!
Jak, kosmetycznej wynik dekoracji,
Podtatusiałej rumieniec kokiety!

Darmo! Ach! Darmo! na fałdach buziaka
Młodzieńcze sromy udawać się sili,
I spieczonego bierze pozór raka.

Nie zwiedzie znawców! O szczycie ironji!
Tych nawet zgoła nie skusi motyli,
Co w koło uschłych pląsają piwonji!

Po kilku chwilach marnego rozbłysku,
Zima, zgwałcone odzyskując prawa,
Znów świat w lodowym uwięzi uścisku.

Po krótszem jeszcze mdłych iluzji mgnieniu,
Zsunie się, zsunie, maska farb jaskrawa,
I starość w zmarszczek zgrzytnie wyżłobieniu!

Paryż d. 28 Listopada 1878 r.

J. S. Chamiec.

TEN MAŁY

POWIEŚĆ

ALFONSA DAUDETA

przekład

Wincenty Limanowskiej.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

(Ciąg dalszy.)

VII.

Pion.

I tak zostałem korepetytorem w oddziale średnich.

Było w nim około pięćdziesięciu złych lampartów, pucułowatych górali od dwunastu do czternastu lat, synów wzbogaconych dzierżawców, których rodzice posyłali do kolegium dla tego, by z nich zrobiono obywateli paniczów, w zamian za sto dwadzieścia franków, które płacili co kwartał.

Gburowaci, zuchwali, dumni, mówiący między sobą twardym prowincjonalizmem sewenolskim, którego nie rozumiałem wcale, wszyscy prawie byli brzydcy tą brzydotą, właściwą dzieciom pewnego wieku; wielkie czerwone ręce ze znakami odmrożeń, głosy młodych kogutów zakatarzonych, wzrok dziki, a w dodatku do tego wszystkiego zapach kolegium... Byłem dla nich nieprzyjacielem, pionem i od pierwszego dnia, kiedy zasiadłem w mojem krześle, rozpoczęła się między nami wojna, wojna zajadła, bez wytchnienia, bez litości.

Ah! okrutne dzieci, ileż ucierpiałem od nich!...

Chciałbym mówić o tem bez urazy, tak to już dawno minęło!... Otóż nie, nie mogę, i patrzcie, w chwili kiedy to piszę, czuję, jak mi ręka drży z gorączki i ze wzruszenia. Zdaje mi się, że wróciłem do tych chwil okropnych.

Oni nie myślą już o mnie zapewne. Nie pamiętają już tego Małego, ani jego pięknej lornetki, którą kupił był dla nadania sobie większej powagi...

Moi dawni uczniowie są już teraz ludźmi, ludźmi poważnymi. Soubeyrol musi być gdzieś notarjuszem w Sewennach; Veillou (młodszy) pisarzem w trybunale; Loupi, aptekarzem, a Bouzanquet weterynarzem. Mają stanowisko, gruby brzuch; wszystko co trzeba.

Czasami jednak, spotkawszy się w kasynie lub na placu kościelnym, przypominają sobie dobre czasy w kolegium a wtenczas może też mówią i o mnie.

— A nasz mały Eyssette, nasz pion w Sarlande, pamiętasz go, pisarzu? Długie włosy jego i twarz wymokłą? Jakie dobre figle płataliśmy mu!

To prawda, panowie. Dobre figle płataliście mu, i dawny wasz pion nie zapomniał ich dotąd...

Ah! nieszczęśliwy pion! Coście się to z niego naśmiewali! Co się on napłakał z waszego powodu... Tak, napłakał!... Przyprowadzaliście go do łez, i to właśnie nadawało psotom waszym tem większy urok...

Ileż razy po całym dniu męczeństwa nieborak, skuliwszy się na swem łóżku, kołdrą zatykał usta, byście łkania jego nie słyszeli!...

To tak okropnie jest żyć wśród niechętnych sobie, zawsze być w strachu, zawsze na ostrożności zawsze w gniewie, uzbrojonemu zawsze; to tak okropnie jest karać, pomimo woli człowiek dopuszcza się niesprawiedliwości, to tak okropnie jest wątpić, wszędzie upatrywać zasadzki, nie módz zjeść spokojnie, nie módz zasnąć bez troski, zawsze, nawet w chwilach wypoczynku mieć to na myśli: „Ah! mój Boże!... Co oni teraz zamierzają mi zrobić?“

Nie, chociażby miał żyć sto lat, pion Daniel Eyssette nigdy nie zapomni tego, co ucierpiał w kolegium Sarlande od dnia smutnego, w którym wstąpił do oddziału średnich!

A jednak, nie chcę kłamać, zyskałem coś na tej zamianie oddziałów: teraz widywałem czarne oczy.

Dwa razy dziennie, w godzinach rekreacji spostrzegałem je z daleka, jak pracowały po za oknem pierwszego piętra, które wychodziło na dziedziniec oddziału średnich... Zawsze one były, czarniejsze, większe niż kiedy, od rana do wieczora pochylone nad nigdy nieskończoną robotą; bo oczy czarne szyły, szyły wciąż niezmordowanie. Dla szycia to, jedynie dla szycia, stara czarownica o okularach wzięła je z domu podrzutków, oczy czarne nie miały ani ojca ani matki, i od początku do końca roku szyły, szyły bez wytchnienia pod nieubłaganym wzrokiem strasznej czarownicy, co przędła siedząc tuż obok.

Ja patrzyłem na nie. Rekreacje wydawały m się za krótkie. Byłbym życie całe przepędził pod tem błogosławionem oknem, przy którem pracowały oczy czarne. One także wiedziały, że jestem tam. Od czasu do czasu odrywały się od roboty i za pomocą wzroku, nic nie mówiąc, rozmawialiśmy z sobą.

— Bardzo jesteś nieszczęśliwy, panie Eyssette.

— I wy także, biedne oczy czarne.

— My, nie mamy ani ojca ani matki.

— Mój ojciec i matka daleko odemnie.

— Gdybyś wiedział, jak czarownica w okularach jest straszna!

— Dzieci męczą mię nie mniej, bądź tego pewna.

— Odwagi, panie Eyssette!

— Odwagi, piękne oczy czarne!

Rozmowa nigdy dłużej nie trwała. Zawsze bałem się, by pan Viot nie ukazał się z kluczami swymi — dzyn! dzyn! dzyn! — a w górze, po za oknem, oczy czarne miały także swego Viot'a. Po chwilowej rozmowie szybko się spuszczały na dół i wracały do swej roboty, pod surowem spojrzeniem wielkich okularów w stalowej oprawie.

Drogie oczy czarne! Mówiliśmy z sobą bardzo rzadko i tylko ukradkowo, a jednak kochałem je z całej duszy.

Był jeszcze ksiądz Germane, którego lubiłem bardzo...

Ten ksiądz Germane był profesorem filozofji. Uchodził on za oryginała, i w kolegium wszyscy się go bali, nawet dyrektor, nawet pan Viot. Mówił mało, głosem suchym i urywanym; do wszystkich nas mówił: ty; chodził wielkimi krokami, z głową w tył odrzuconą, z podniesioną sutaną i jak dragon stukając obcasami swoich bucików ze sprzączkami. Był wysoki i silny. Przez czas długi miałem go za bardzo pięknego, ale razu pewnego, przypatrując mu się, postrzegłem, że szlachetne to oblicze okropnie zeszpeciła ospa. Na całej twarzy ani jednego gładkiego miejsca nie pozostało, skóra cała posiekana, porąbana, pozszywana, istny Mirabeau w sutanie.

Ksiądz żył smutnie i samotnie; zajmował mały pokoik w tamtym końcu domu, który nazywano Starem kolegium. Nikt nigdy nie bywał u niego, z wyjątkiem dwóch jego braci, nicponiów, co się w mojem znajdowali oddziale, i których naukę on opłacał... Wieczorem, kiedyśmy przechodzili dziedziniec, udając się do sypialni, spostrzegaliśmy tam, wysoko, wśród czarnych, zrujnowanych murów starego kolegium, małe blade światełko: była to lampa księdza Germane. Rano także, schodząc do klasy o szóstej godzinie, widywałem nieraz palącą się lampę; ksiądz Germane nie położył się był... Powiadano, że pracuje nad wielkiem dziełem o filozofji.

Co do mnie, nawet zanim go jeszcze poznałem, czułem wielką sympatję do tego dziwnego księdza. Piękna jego, a zarazem okropna twarz, jaśniejąca rozumem, ciągnęła mię do siebie. Ale tak mię nastraszono opisem dziwactw jego i grubjaństw, że nie śmiałem pójść do niego. A jednak poszedłem raz, na moje szczęście!

I oto w jakich okolicznościach...

Trzeba wiedzieć, że byłem wówczas zatopiony po uszy w historji filozofji... Ciężka to była praca dla tego Małego!

Otóż, pewnego dnia przyszła mi ochota przeczytać Condillac'a. Między nami mówiąc, człeczyna ten nie wart tego nawet, by go czytano; jest to filozof dla śmiechu, cały jego bagaż filozoficzny utonąłby w naparstku; ale rzecz wiadoma, że młodzi urabiają sobie najfałszywsze pojęcia o rzeczach i ludziach.

Otoż chciałem czytać Condillac'a... Bądź co bądź, trzeba mi było koniecznie dostać Condillac'a. Na nieszczęście nie było go wcale w kolegium, a księgarnie w Sarlande nie trzymały tego artykułu! Postanowiłem udać się do księdza Germane'a. Bracia jego powiedzieli mi byli, że w pokoju jego znajdowało się więcej niż dwa tysiące tomów, i nie wątpiłem, że znajdę pomiędzy niemi książkę marzeń moich. Tylko, że ten djabelny człowiek przestraszał mię, i trzeba było całej mojej miłości dla Condillac'a, bym się odważył udać do jego nory.

Kiedym stanął przed drzwiami, nogi mi trzęsły się ze strachu... Zapukałem dwa razy, bardzo leciuchno.

— Proszę! — odpowiedział głos Tytana.

Straszny ksiądz Germane siedział konno na niskiem krześle, z nogami wyciągniętemi, z sutaną podniesioną; grube muskuły jego mocno wystawały z pod czarnych jedwabnych pończoch. Łokciem oparty na grzbiecie krzesła, czytał in folio o czerwonych brzegach i palił małą, krótką fajeczkę.

— To ty — rzekł podnosząc zaledwie oczy z nad swego in folio... — dobrydzień! Jak się masz?... Czego chcesz?

Ostry głos jego, surowy charakter tego pokoju, którego ściany pokryte były książkami, sposób siedzenia księdza i ta mała fajeczka, którą trzymał w zębach, wszystko to onieśmielało mię bardzo.

Udało mi się przecie wytłumaczyć jako tako przyczynę wizyty mojej i wyrazić prośbę o znakomitego Condillac'a.

— Condillac'a! chcesz czytać Condillac'a — odpowiedział mi ksiądz Germane, uśmiechając się. Co za dziwaczny pomysł!... Czy nie wolałbyś wypalić ze mną fajeczkę?... Patrz ot tam, przy murze wisi ładna trzcinka, zdejmij ją i zapal... zobaczysz, że to lepiej smakować ci będzie od wszystkich Condillac'ów na świecie.

Czerwieniąc się cały odmówiłem.

— Nie chcesz?... jak ci się podoba, mój chłopcze... Twój Condillac jest tam, w trzecim rzędzie na lewo... możesz go wziąć, pożyczam ci go. Ale go nie zniszcz, bo ci uszy oberwę.

Znalazłem Condillac'a w trzecim rzędzie na lewo i wziąwszy go, zabierałem się do odejścia; ale ksiądz zatrzymał mię.

— A zatem, zajmujesz się filizofją — rzekł patrząc mi wprost w oczy... — Czyż miałbyś w to wierzyć?... Bajki, mój kochany, czyste bajki... I powiedzieć, że chcieli ze mnie zrobić profesora filozofji. I pytam ja: kogo czego tu uczyć? zero, nicość... Mogli mię byli równie dobrze zrobić jeneralnym inspektorem gwiazd, albo kontrolorem fajczanego dymu... O! nędzo moja! Dziwnych się czasem trzeba chwytać rzeczy, by zarabiać na życie... i ty to znasz już trochę, ty także, nieprawdaż?... Oh! nie masz czego rumienić się. Wiem, że nie jesteś szczęśliwym, mój ty biedny mały pionie, i że dzieci zalewają ci za skórę.

Tu ksiądz Germane zatrzymał się na chwilę. Zdawał się być bardzo rozgniewany i z wściekłością otrząsał popiół z fajki. Ja, słysząc jak ten zacny człowiek lituje się nademną, czułem się bardzo wzruszony i Condillac'em zasłaniałem sobie oczy pełne łez.

Ksiądz znowu mówił:

— A prawda! zapomniałem zapytać cię... Czy kochasz Boga?... Bo to widzisz, trzeba go kochać, mój kochany, i mieć w nim ufność, i modlić się do niego wytrwale; bo bez tego nie dasz sobie rady nigdy... Na wielkie bole życia znam tylko trzy lekarstwa: pracę, modlitwę i fajkę, glinianą, bardzo krótką, pamiętaj o tem... Co do filozofów, na tych nie rachuj wcale; nigdy ci żadnej nie przyniosą pociechy. Sam przez to przeszedłem, możesz mi wierzyć.

— Wierzę panu.

— A teraz idź sobie, męczysz mię... Jak zechcesz książek, możesz przyjść po nie. Klucz od pokoju mego jest zawsze we drzwiach, a filozofowie zawsze w trzecim rzędzie na lewo... Nie mów nic więcej do mnie... Bądź zdrów.

To powiedziawszy, wrócił do swego czyta-

nia i nie spojrzał już na mnie; wyniosłem się cicho. Prawdziwy oryginał!

Odtąd miałem wszystkich filozofów na zawołanie swoje, wchodziłem do księdza Germane'a, nie pukając, jak do siebie. Najczęściej kiedym przychodził, ksiądz był na lekcji, a w pokoju jego nikogo. Fajeczka drzemała na rogu stołu, pośród wielu in folio o czerwonych brzegach i stosów papieru zapisanego drobniutkiem pismem... Czasami był tam i ksiądz Germane! Zastawałem go czytającego, piszącego, albo wielkimi krokami chodzącego wzdłuż i w poprzek. Wchodząc, mówiłem głosem nieśmiałym:

— Dzieńdobry, panu.

Najczęściej nie odpowiadał mi wcale... Brałem filozofa mego w trzecim rzędzie na lewo i wychodziłem, nie zwróciwszy jak się zdawało najmniejszej uwagi na siebie... Do końca roku nie zamieniliśmy z sobą dwudziestu słów; ale to nic nie znaczy! coś mi mówiło, że byliśmy wielkimi przyjaciołmi...

Tymczasem wakacje zbliżały się. Po całych dniach uczniowie muzyki powtarzali w klasie rysunku polki i marsze, które grać miano w czasie rozdawania nagród. Polki te cieszyły wszystkich. Wieczorem, w końcu ostatniej godziny nauki uczniowie dobywali z pulpitów małe kalendarzyki i każdy z nich wykreślał w swoim dzień, który właśnie minął: „Jednym mniej znowu!“ Na dziedzińcu pełno było desek przeznaczonych na estradę; czyszczono fotele, trzepano dywany... Ani nauki ani porządku. Ale zawsze do samego końca, nienawiść do piona, psoty, straszne psoty.

Nakoniec, wielki dzień nadszedł. Wielki był czas; nie mogłem już dalej wytrwać.

Nagrody rozdawano na moim dziedzińcu, na dziedzińcu średnich... Pamiętam go do dziś dnia jako też i pstry namiot jego; mury pokryte białą draperją, wielkie zielone drzewa, a na nich mnóstwo chorągwi, a pod nimi całe stosy czapek, kapeluszy, kaszkietów, czepków z kwiatami, haftowanych czapeczek, piór, wstążek, kitek... W głębi długą estradę, na której władze kolegium zasiadły w fotelach z czerwonego aksamitu... Oh! ta estrada, jakże się człowiek czuł małym w obec niej! Jakąż cechę pogardy i wyższości nadawała ona tym, co się znajdowali na niej! Żaden z tych panów nie miał zwykłej swej fizjonomji.

Ksiądz Germane był także na estradzie, ale zdawał się zapominać o tem zupełnie. Wyciągnięty w fotelu swym, z głową odrzuconą w tył, z roztargnieniem słuchał sąsiadów swoich a okiem jak gdyby gonił między liśćmi obłoki dymu z niewidomej faki...

U stóp estrady muzyka, trombony i inne narzędzia muzyczne połyskujące na słońcu; trzy oddziały uszykowane na ławkach a za nimi i obok nich na froncie korepetytorowie; a z tyłu ciżba krewnych, profesor drugiej klasy, podający rękę damom i wołający: Miejsce! miejsce! a nakoniec, wśród całego tłumu tego klucze pana Viot'a, biegające z jednego dziedzińca na drugi — dzyn! dzyn! dzyn! — słychać je było na prawo, na lewo, tu, tam, wszędzie jednocześnie.

Obrząd rozpoczął się. Gorąco było bardzo. Pod namiotem brakło powietrza... Były tam grube panie całe czerwone, te drzemały w cieniu marabutów swoich; łysi panowie ponsowymi fularami ocierali pot z głowy. Wszystko było czerwone; twarze, dywany, chorągwie, fotele... Były trzy mowy, którym przyklaskiwano mocno; ale ja nie słyszałem ich. Tam, wysoko po za oknem pierwszego piętra czarne oczy szyły na zwykłem swem miejscu, i dusza moja, cała moja dusza leciała ku nim... Biedne oczy czarne! nawet i tego dnia czarownica w okularach nie dawała im spocząć.

Kiedy ostatnie imię ostatniego nagrodzonego z ostatniej klasy obwołanem zostało, muzyka zagrała tryumfalnego marsza, i wszystko rozsypało się. Powszechne zamięszanie powstało. Profesorowie zstępowali z estrady; uczniowie przeskakiwali ławki, spiesząc do rodziców swych. Całowano się, nawoływano: „Tutaj! tutaj!“ Siostry laureatów z dumą niosły wieńce braci swoich. Jedwabne suknie szeleściały między krzesłami. Nieruchomo stojąc za drzewem, ten Mały patrzał na przechodzące piękne panie; w wyszarzanej swej sukni czuł się tak nędznym, tak małym.

Powoli dziedziniec wypróżnił się. Przy głównych drzwiach stali dyrektor i pan Viot; rodzicom kłaniali się do ziemi, przechodzące dzieci głaskali.

„Do przyszłego roku, do przyszłego roku!“ — mówił dyrektor z przymilającym się uśmiechem. Klucze pana Viot'a pieszczotliwie dzwoniły: „Dzyn! dzyn! dzyn!“ wracajcie mali przyjaciele, wracajcie do nas na rok przyszły!

Dzieci niedbale dawały się całować i jednym skokiem przebiegały schody.

Te dzieci wsiadały do pięknych powozów, ozdobionych herbami; matki i siostry robiły im miejsce między szeroko rozłożonemi sukniami swemi. Pif! paf!... W drogę do zamku!... Jedziemy do naszych parków, naszych trawników, huśtawki pod akacjami, ptaszarni pełnej rzadkich ptaków, sadzawki z dwoma łabędziami i wielkiego tarasu z balustradą, gdzie wieczorem jedzą się sorbety.

Inne drapały się na familijne wozy z ławkami, i siadały obok ładnych dziewcząt, które śmiały się białemi ząbkami z pod białych czepeczków. Dzierżawczyni ze swoim złotym łańcuchem, co opasywał jej szyję, wiozła sama... Wio, Maturyno! Wracamy na folwark; będziemy jedli chleb z masłem, będziemy pili wino z muszkatu, cały dzień będziemy z sidłami polowali na ptaki i tarzali się w sianie, co tak ładnie pachnie!

Szczęśliwe dzieci! wyjeżdżały; wyjeżdżały wszystkie!.. Ah! żebym to ja mógł wyjechać także!...

VIII.

Czarne oczy.

Kolegium stanęło pustką. Wszyscy wyjechali...

Z jednego końca sypialni na drugi, w biały dzień całe szwadrony wielkich szczurów nacierają na siebie, niby pułki konnicy. Kałamarze wysychają wewnątrz pulpitów. Na drzewach dziedzińca wróble wyprawiają bezustanne święto; panowie ci zaprosili kolegów swych z miasta, z biskupstwa, z pod-prefektury i od rana do wieczora świergotają przeraźliwie.

Z pokoiku swego pod strychem ten Mały słuchał ich pracując. Z miłosierdzia pozwolono mu pozostać w zakładzie podczas wakacji. Korzysta z tego i na śmierć pracuje nad filozofami greckimi. Tylko w izdebce jego za gorąco i sufity za niskie... Duszno tu strasznie... Okna bez okiennic. Słońce wpada tu jak pochodnia i zapala wszystko. Tynk u belek odpada kawałami... Wielkie muchy, ociężałe od upału, śpią przyklejone do szyb... Ten Mały także zaledwie się wstrzymać może od snu. Głowa jego ciężka jak ołów; powieki mu opadają.

Pracujże, Danielu Eyssette!... Trzeba odbudować ognisko... Ale nie! nie może... Litery książki tańczą mu przed oczyma, potem, książka sama zaczyna obracać się, dalej stół, wreszcie pokój. Chcąc otrząsnąć się z tej senności, ten Mały wstaje, postępuje kroków kilka; przyszedłszy do drzwi, chwieje się i snem znużony pada jak kłoda.

Na dworze wróble świergocą; koniki polne dzwonią na zabój; jawory białe od kurzu wznoszą ku słońcu tysiączne gałęzie swoje, a kora ich pęka od gorąca.

Ten Mały szczególny ma sen; zdaje mu się, że ktoś puka do drzwi, i że donośny głos jakiś woła na niego: „Danielu! Danielu!“ Głos to dobrze mu znany. To ten sam, co wołał niegdyś: „Jakóbie, jesteś osioł!“

Znowu pukają do drzwi: „Danielu, mój Danielu, to ja, twój ojciec, otwórz prędko!“

Oh! jaki sen okropny! Daniel chce odpowiedzieć, chce otworzyć... Podnosi się na łokciu; ale głowa jego tak ciężka; opada znowu i traci przytomność...

Kiedy wreszcie przychodzi do siebie, dziwi się ogromnie, ujrzawszy się na posłaniu bialutkiem, otoczonem wielkimi niebieskiemi firankami, od których cień pada dokoła... Światło łagodne, pokój cichy. Żadnego szmeru, tylko chód zegara i dzwonienie łyżeczki o porcelanę... Ten Mały nie wie, gdzie się znajduje; ale czuje, że mu bardzo dobrze. Firanki uchylają się. Pan Eyssette ojciec z filiżanką w ręku pochyla się ku niemu; na ustach ma uśmiech, a oczy łez pełne. Danielowi zdaje się, że to dalszy ciąg snu.

— Czy to ty, mój ojcze? Naprawdę ty?

— Tak mój Danielu, tak drogie dziecię, to ja.

— Gdzież jestem? wielki Boże!

— W szpitalu od dni ośmiu... teraz już wyzdrowiałeś, ale bardzo byłeś chory...

— Ale ty ojcze, zkąd się tu wziąłeś? Pocałuj mię jeszcze!... Ah! kiedy patrzę na ciebie, to mi się zdaje, że to zawsze sen tylko.

Pan Eyssete całuje go.

— No, dosyć, okryj się, bądź rozsądny... lekarz nie pozwala ci mówić.

I chcąc przeszkodzić dziecku, by nie mówiło, poczciwy człowiek sam mówi wciąż.

— Wyobraź sobie, tydzień temu towarzystwo wysyła mię na objażdżkę w Sawenny. Domyślasz się, jak byłem rad sposobności tej widzenia Daniela mego! Przybywam do kolegium... Wołają cię, szukają... Nie ma Daniela! Każę się prowadzić do twego pokoju, klucz wewnątrz... Pukam, nikt nie odpowiada mi! Wysadzam drzwi i znajduję cię na podłodze, w szalonej gorączce... Ah! biedne dziecię, jakżeś ty był chory! Przez dni pięć miałeś malignę! Nie opuściłem cię ani na chwilę... Przez cały czas bredziłeś, gadałeś wciąż o odbudowaniu ogniska. Co za ognisko, powiedz?... Wołałeś: „Precz z kluczami! wyjmcie klucze z zamków!“ Śmiejesz się? Upewniam cię, że ja się nie śmiałem. Boże! jakie noce spędzałem z łaski twojej!... A uwierzysz temu, że pan Viot, tak się nazywa, nieprawdaż? nie chciał mi pozwolić nocować w kolegium! Powoływał się na regulamin! A cóż mię to obchodzi, ten jego regulamin!... Grubjanin ten, sądził że mię zastraszy kluczami swymi, potrząsał mi niemi pod samym nosem. Nauczyłem go rozumu!

*

Ten Mały zadrżał, słysząc o śmiałości pana Eyssette; poczem prędko zapominając o kluczach pana Viot'a: „A matka?“ pyta wyciągając ręce, jak gdyby widział ją koło siebie, czekającą na pieszczoty jego.

— Jeżeli się będziesz odkrywał, nic ci więcej nie powiem — odpowiada pan Eyssette tonem rozgniewanym. — No, okryj się... matką zdrowa, mieszka u stryja Baptysty.

— A Jakób?

— Jakób! to osioł!... Kiedy mówię osioł, to znaczy, że tylko tak mówię... Przeciwnie, Jakób jest bardzo dobrym chłopcem... Nie odkrywajże się, do stu djabłów!... Pozycją ma wcale ładną. Ale zawsze płacze naturalnie. Zresztą, zupełnie jest zadowolony z losu swego. Dyrektor zrobił go swoim sekretarzem... Pisze tylko pod dyktowaniem, nic więcej... Byt przyjemny bardzo.

— Ten biedny Jakób! skazany już widać na to, by całe życie pisał pod dyktowaniem!...

Mówiąc to, Daniel zaczyna śmiać się wesoło a pan Eyssette patrząc na niego śmieje się także, nie przestając jednak gderać z powodu tej przeklętej kołdry, co się wciąż usuwa...

O! błogosławiony szpitalu! Ileż godzin przyjemnych spędza ten Mały między niebieskiemi firankami swojego łóżka!... Pan Eyssette, wciąż jest przy nim; siedzi dzień cały u jego wezgłowia i Daniel pragnąłby, żeby ojciec nigdy nie odjeżdżał... Niestety! to niepodobna! Towarzystwo potrzebuje swego komisanta. Trzeba jechać, trzeba dalej prowadzić objaździkę po Savennach.

Po wyjeździe ojca, Daniel zostaje sam, sam zupełnie w szpitalu. Dnie całe przepędza, czytając w fotelu, który przysunięto do okna. Rano i wieczór żółta pani Cassagne przynosi mu jedzenie. Ten Mały wypija filiżankę buljonu, ogryza skrzydełko kurczęcia i mówi: „Dziękuję pani“. Nic wiecej. Od kobiety tej czuć gorączkę, niepodoba mu się ona, nie patrzy nawet na nią.

Otóż, jednego rana, kiedy wypowiada swoje: „Dziękuję pani“, tonem suchym jak zwykle, nie podnosząc oczu z nad książki, słyszy ze zdziwieniem głos bardzo łagodny, który mówi do niego: „Jakże się pan ma dzisiaj, panie Danielu?“

Ten Mały podnosi głowę i zgadnijcie, co widzi przed sobą... Czarne oczy, czarne oczy we własnej osobie, nieruchome i uśmiechnięte przed nim...

Czarne oczy oznajmiają przyjacielowi swemu, że żółta kobieta zachorowała i że im polecono spełnić jej obowiązek. Spuszczając powieki, dodają przytem, że cieszą się bardzo, widząc pana Daniela przychodzącym do zdrowia; potem odchodzą, oddając głęboki ukłon i mówiąc, że powrócą tegoż wieczora. Tegoż wieczora w istocie czarne oczy wróciły i nazajutrz rano także, i nazajutrz wieczor jeszcze. Ten Mały jest zachwycony. Błogosławi chorobę swoją, chorobę żółtej kobiety, wszystkie choroby na świecie; gdyby nikt nie był chorował, on nigdy nie byłby sam na sam z czarnemi oczyma.

O błogosławiony szpitalu! Ileż godzin przyjemnych ten Mały przepędza w fotelu swoim przy oknie!... Rano oczy czarne z pod długich rzęs swoich sypią tysiącami iskier złotych, które błyszczą na słońcu; wieczorem jaśnieją łagodnie i świecą jak gwiazda w cieniu... Co noc ten Mały śni o oczach czarnych; nie dają mu spać. Od świtu przygotowuje się do ich przyjęcia, tyle rzeczy ma do powiedzenia im!... Potem, kiedy oczy czarne przyjdą, nie mówi im nic...

Oczy czarne zdają się bardzo dziwić milczeniu temu. Chodzą tu i ówdzie po szpitalu, wynajdują tysiące pozorów, by dłużej być przy chorym spodziewając się zawsze, że ten zechce przemówić.

Czasami jednak Daniel Eyssette uzbraja się w całą odwagę swoją i śmiało zaczyna: „Pani!...“

Na to oczy czarne zapalają się i patrzą uśmiechając; ale patrząc na ten uśmiech, biedak traci głowę i drżącym głosem dodaje: „Dziękuję pani za jej dobroć.“ Albo: „Bulion doskonały jest dzisiaj.“

Oczy czarne dąsają się trochę, z czem im bardzo ładnie i zdają się mówić: „Jakto! tyle tylko!“ I odchodzą wzdychając.

Po ich odejściu, ten Mały zaczyna rozpaczać: „Oh! jutro! jutro z pewnością powiem im!“

A nazajutrz znowu to samo.

Nakoniec zmęczony tą walką wewnętrzną, i czując dobrze, że nigdy nie będzie miał odwagi powiedzieć oczom czarnym, co serce jego czuje, ten Mały postanawia napisać do nich.... Jednego wieczora prosi o atrament i papier, ma napisać list ważny, oh! bardzo ważny!... Oczy czarne odgadły zapewne, o jaki to list chodzi; oczy czarne takie przenikliwe!... Prędko, prędko biegną po papier i atrament, podają je choremu i śmiejąc się do siebie odchodzą.

Daniel Eyssette bierze się do pisania; pisze noc całą; potem rano spostrzega, że ten list nieskończony zawiera tylko trzy wyrazy, tylko trzy, rozumiecie mię? ale te trzy wyrazy są najwymówniejsze w świecie, i ten Mały spodziewa się, że sprawią wielkie wrażenie.

A teraz, baczność!... Czarne oczy przyjdą zaraz.... Ten Mały bardzo jest wzruszony; przygotował list swój i przysięga sobie wręczyć go natychmiast... Oto tak będzie. Oczy czarne wyjdą, pozostawią na stole buljon i kurczę. „Dzieńdobry, panie Danielu!“ Ten wówczas powie im natychmiast z wielką odwagą: „Sliczne oczy czarne, oto list do Was.“

Cicho!... Szelest na kurytarzu, niby chód ptaka... Oczy czarne zbliżają się... Ten Mały trzyma list swój w ręku. Serce mu bije, jak gdyby miał umrzeć...

Drzwi się otwierają... Okropność!...

Zamiast oczu czarnych zjawia się stara czarownica, straszna czarownica w okularach.

Ten Mały nie śmie pytać, co to znaczy; ale jest pomięszany... Dlaczego nie przyszły?... Z niecierpliwością oczekuje wieczora... Niestety! wieczorem także oczy czarne nie przychodzą, ani nazajutrz, ani dni następnych, ani nigdy.....

Wypędzono czarne oczy. Odesłano je napowrót do domu podrzutków, gdzie pozostaną lat cztery do pełnoletności swojej... Czarne oczy kradły cukier!...

Żegnajcie piękne dni szpitala! oczy czarne znikły, a na domiar nieszczęścia uczniowie zaczynają wracać... Jakto? Już z powrotem?... Oh! jakże krótkie te wakacje!

Po raz pierwszy od sześciu tygodni, ten Mały schodzi na dziedziniec, blady, mizerny, więcej Mały niż kiedy.... Całe kolegjum budzi się. Myją je od góry do dołu. Kurytarze zalane wodą. Klucze pana Viot'a wściekle uwijają się jak zawsze. Straszliwy pan Viot! korzystając z wakacji, dopisał kilka paragrafów do regulaminu swego i kilka kluczy uwiązał do dawniejszego ich pęku. Ten Mały niech się dobrze trzyma!

Uczniowie przybywają codziennie... Pif! paf! Przed drzwiami kolegjum zatrzymują się wozy i wózki i koczyki jak w dzień rozdawania nagród... Kilka dawnych nie stawiło się, ale nowi zjawili się na ich miejsce. Oddziały formują się na nowo. Tego roku, tak jak przeszłego, ten Mały będzie miał oddział średnich. Biedny pion drży już ze strachu. A zresztą, kto to wie? Może w tym roku dzieci będą mniej złośliwe.

Rano w dzień otwarcia kolegium wielka muzyka w kaplicy. Msza do Ducha Swiętego... *Veni, creator Spiritus!..* Oto pan dyrektor w swojem pięknem ubraniu czarnem i ze srebrną palemką w pętlicy. Za nim sztab profesorów w togach obrządkowych: nauki scisłe mają gronostaje żółte, humanitarne białe. Profesor drugiej klasy trzpiot, pozwolił sobie włożyć rękawiczki koloru jasnego i fantastyczny kapeluszyk; pan Viot wydaje się niezadowolniony. *Veni, creator Spiritus!...* W głębi kościoła między uczniami ten Mały zazdrośnem okiem spogląda na wspaniałe togi i srebrne palmy.... Kiedyż on będzie profesorem?... Kiedy będzie mógł odbudować ognisko. Niestety! zanim do tego dojdzie, ileż czasu jeszcze i ile trudów! *Veni, creator Spiritus!..* Temu Małemu smutno na sercu. Organ pobudza go do łez... Nagle tam w jednej stronie chóru spostrzega piękną, pokrajaną twarz księdza Germana, który uśmiecha się do niego... Uśmiech ten przynosi ulgę temu Małemu; słucha i odwaga wstępuje w niego... *Veni, creator Spiritus?..*

W parę dni po mszy do Ducha Swiętego nowa uroczystość. Imieniny dyrektora... Od czasów niepamiętnych, dzień ten świętego Teofila kolegium całe obchodzi na trawie, obficie racząc się zimnem mięsiwem i winem Limoux. Tym razem jak zwykle dyrektor nie żałuje kosztów, mających zapewnić tej małej familijnej uroczystości rozgłos, który zadowalnia instynkta szczodrobliwości wrodzone sercu jego, przytem nie szkodzi wcale interesom jego kolegium. O świcie uczniowie i nauczyciele pakują się wszyscy do wielkich wozów ozdobionych chorągwiami, i cały orszak wyrusza galopem, za nim dwie ogromne fury z koszami jadła i butelkami pieniącego się wina... Na czele, na pierwszym wozie same matadory i muzyka. Tej wydano rozkaz, by grała jak najgłośniej. Bicze trzaskają, dzwonki dzwonią, talerze stukają i blaszane rądle... Całe Sarlande w szlafmycach jeszcze rzuca się do okien, chcąc popatrzeć na przejeżdżające imieniny dyrektora.

Bankiet odbywa się na łące. Za przybyciem na miejsce, rozścielają obrusy na trawie, i uczniowie pękają od śmiechu, patrząc na profesorów, siedzących między fiołkami jak prości studenci... Roznoszą pasztety. Korki strzelają. Oczy błyszczą. Powszechna rozmowa toczy się gwarnie... Między temi ożywionemi twarzami jeden tylko Daniel Eyssette wyróżnia się miną zafrasowaną. Nagle czerwieni się... Pan dyrektor powstał właśnie z papierem w ręku: „Panowie, powiada, w tej chwili wręczono mi wiersze, które nieznany poeta poświęca mi. Pokazuje się, że nasz zwykły Pindar ma w tym roku współzawodnika... Chociaż te wiersze są nadto pochlebne dla mnie, pozwolcie jednak panowie, bym je wam przeczytał“.

— Tak, tak... proszę czytać!... proszę czytać!...

Pięknym swym głosem od rozdawania nagród pan dyrektor zaczyna czytać...

Jest to powinszowanie dość zgrabnie ułożone, pełne słodkich słówek nie tylko dla dyrektora, ale i dla wszystkich tych panów. Każdemu dostał się kwiatek. Poeta nie zapomniał nawet

czarownicy. Nazwał ją „aniołem jadalni szkolnej," co bardzo ładne przecie.

Wielkie oklaski następują po przeczytaniu rymów. Parę głosów zapytuje o ich twórcę. Ten Mały podnosi się czerwony jak wiśnia i skromnie kłania. Znowu ogólne oklaski. Ten Mały zostaje bohaterem uroczystości. Dyrektor całuje go. Profesorowie ściskają rękę jego z miną porozumienia. Nauczyciel drugiej klasy prosi go o kopią wierszy, bo chce je umieścić w dzienniku. Ten Mały bardzo jest zadowolniony; całe to kadzidło idzie mu do głowy wraz z winem Limoux. Tylko, i to go cokolwiek wytrzeźwia, wydaje mu się, że słyszy, jak ksiądz Germane szepce do niego: „Głupiec!" a jednocześnie klucze współzawodnika jego przeraźliwie zgrzytają.

Kiedy ochłonięto z pierwszego zapału, pan dyrektor klaszcze prosząc o milczenie.

— Teraz, Viot, na ciebie kolej.... Po Muzie żartobliwej, Muza poważna.

Pan Viot zwolna wyciąga z kieszeni zeszyt oprawny, wiele obiecujący, i zaczyna czytać, z ukosa rzuciwszy na tego Małego ostre spojrzenie.

Dziełem pana Viot'a jest idyla, idyla z zakrojem wirgiljuszowskim, opiewająca sławę regulaminu. Uczeń Ménalqu i uczeń Dorilas rozmawiają z sobą kolejnymi strofami... Uczeń Ménalqu należy do jednego kolegium, gdzie kwitnie regulamin; Dorilas jest uczniem drugiego, z którego regulamin został wygnany... Ménalqu opowiada o twardych uciechach ścisłej karności! Dorilas o jałowych rozkoszach szalonej wolności.

Nakoniec, Dorilas uznaje się pobitym. Składa w ręce zwycięzcy nagrodę walki, i obydwaj, łącząc swe głosy, zawodzą pieśni tryumfu na cześć regulaminu.

Poemat skończony... Po nim grobowe milczenie!... W czasie czytania dzieci wyniosły się z talerzami swymi na drugi koniec łąki i zajadają swój pasztet spokojnie, daleko, bardzo daleko od ucznia Ménalqu i ucznia Dorilas'a. Pan Viot spogląda na nich z gorzkim uśmiechem... Profesorowie dotrzymali placu, ale żaden z nich nie ma odwagi przyklasnąć... Biedny pan Viot! Klęska jego zupełna.... Dyrektor usiłuje pocieszyć go! „Przedmiot suchy, panowie, ale poeta dobrze się wywiązał z zadania swego".

— Ja znajduję to bardzo pięknem, powiada bezczelnie ten Mały, tryumf jego zaczyna przestraszać go trochę.....

Bezużyteczna nikczemność! Pan Viot nie chce być pocieszonym. Kłania się, nic nie mówiąc, i nie przestaje uśmiechać się gorzko... I uśmiecha się tak dzień cały! wieczorem, wracając wśród śpiewu uczniów, odgłosu muzyki, i turkotu wozów toczących się po bruku uspionego miasta, ten Mały słyszy w cieniu, tuż przy sobie klucze swego współzawodnika, które dzwonią złośliwie: „Dzyn! dzyn! dzyn! panie poeto, odpłacimy się tobie!"

(C. d. n).

Z WYCIECZKI JUBILEUSZOWEJ.

I.

Harmonijnym akordem ozwały się wszystkie struny narodowego życia w starym Krakowie...

Uroczyście, podniośle, poważnie odbyło się wielkie święto i każdy odjechał pełen otuchy, wiary w lepszą przyszłość. Wszystko co Polska ma najlepszego zbiegło się aby uczcić człowieka co jak Odysej błąkał się po świecie i walczył i cierpiał by uratować towarzyszy, co potężnie krzewił polską mowę, nigdy upadły duchem, zawsze nawołujący ku braterstwu i zawsze, aż do sędziwych lat obecnych stojący po stronie postępu i wołający: że zginąć nie możemy, bo zwątpić w nasz byt to zwątpić w postęp człowieka, co nigdy nie przykładał ręki do wstecznej pracy, owszem popychał naprzód pokolenia i wskazywał im zdrową drogę.

To też po długich latach spokojnej pracy, zbiegło się aby go uczcić wielu pracowników na niwie ojczystej i znicz podsycony wybuchnął płomieniem, który wystarczy znowu na długie czasy.

Skromna uroczystość jubileuszowa zamieniła się w wielkie narodowe święto, jakiego jeszcze nie bywało, Kraków rozszerzył ściany swoje, widać w nim całą Polskę było i każdy czuł, że stoi nie w obec zwykłego święta, lecz wobec chwili historycznej, która się odbije w dalszem życiu.

Zgodnie i bez fałszywego tonu odbyło się wszystko. Bracia z najodleglejszych kresów przybyli, żeby podać sobie dłonie i przypomnieć, że żyją, że w walce nie upadli, że jak oblężeni w twierdzy, przyciśnięci nędzą i głodem, nie wyrzekli się ludzkiej godności, nie poddali się i nie zhańbili narodowego sztandaru.

Kraków wystąpił jak prawdziwe miasto królewskie i z wyszukaną gościnnością i otwartemi ramiony przyjął gości. Wszystkim było dobrze, serdecznie i jak we własnym domu.

A zjazd był nie zwykle wielki i może takiego od lat kilkudziesięciu nie widziano. Już w przeddzień jubileuszu ruch w rynku był niezwykły i na przyjęcie jubilata, niespodziane, bo w innej godzinie, niż było wprzód oznaczone, zebrały się tłumy.

Kto widział Kraszewskiego przed kilku laty, ten nie znalazł na sędziwym mistrzu wielkiej różnicy. Zawsze ta sama głowa wyrazista, czerstwa, schylona jakby pod ciężarem myśli. Na pierwszy rzut oka widać, że to człowiek nie uginający się nigdy pod ciężarem pracy — widać że jeszcze długie lata jak dotąd pracować potrafi i oby też, jak najdłuższe lata dalej tak pracował!

Pierwszym aktem jubileuszowego święta było nabożeństwo u Panny Marji. Kościół był przepełniony. Miejsca w presbyterjum zajęły rodzina Jubilata i deputacje, nawę zapełniała publiczność, która się zjechała ze wszystkich stron Polski. Chór rozpoczął swe śpiewy wspaniałym a tak wszystkim z lat dziecinnych dobrze znanym hymnem: Kiedy ranne wstają zorze! Jedne po drugich płynęły z chóru dawne polskie hymny i była w kościele wielka cichość — słuchano dźwięków jakby echa dawno minionych czasów.

Po skończonem nabożeństwie, przez szpaler straży ogniowej podążyły deputacje ku Sukiennicom, w których miały być wręczone dary Kraszewskiemu. Gmach ten odnowiony staraniem miasta miał być po raz pierwszy otworzonym i oddanym na użytek publiczny. Wiele już bardzo pisano o jego odnowieniu, zarzutów czyniono bez liku i nieraz słusznie, lecz bliżej się sprawie przyjrzawszy trzeba przyznać iż zrobiono co można. Wprawdzie pod względem architektonicznym powstał dziwoląg nielada, mięszanina stylów możliwych i niemożliwych, lecz mimo to gmach ma pewien właściwy sobie charakter nadający się bardzo dobrze do otoczenia krakowskiego, jest w nim wielka malowniczność, która po części przyćmiewa błędy architektoniczne. Hala na dole jest wspaniałą i równej w Polsce nie ma. W niej to odbyło się wręczanie darów. Na środku, na podniesieniu ustawione były stoły z darami. Biskup Dunajewski po poświęceniu gmachu przemówił do zgromadzonych. Ponieważ jemu w udziale przypadło poświęcanie, więc też o gmachu mówił. Wskazując na cisnące się tłumy dowodził, iż się zebrały aby uczcić... otwarcie Snkiennic. Nas, którzyśmy ze wszystkich stron Polski przyjechali aby ścisnąć dłoń Kraszewskiego przekonywał, że nas tradycje dogmachu przywiązane tu ściągnęły.

Ani jednego słówka o Jubilacie, ani najmniejszej alluzji... To wystąpienie i w ogóle brak udziału księży w obchodzie jubileuszowym (z wyjątkiem paru niemiejscowych) były aż nadto widoczne. Dziwi nas jednak tak niedołężne z ich strony rozumienie własnego interesu. Dobrze nam bez nich było, uroczystość wspaniale wypadła i przekonano się, że bez nich obejść się można.

Gdzie nasze dawne patrjotyczne duchowieństwo gdzie słowa zgody z ich ust płynące? Gdzie Chrystusowe miłości nauki?...

Zachowaniem się na jubileuszu zasłużyli sobie na lekceważenie, które się objawiało w sposób nie dwuznaczny. Przypomnijmy tylko sobie owe śniadanie literacko-artystyczne dla Kraszewskiego, na którem jednemu z duchownych nie pozwolono dokończyć mowy...

Niech pamiętają o tem, że nie oni naród stanowią, że Polska nie jest zakonem mniszym, i że niech nam nie pokazują wykrzywionych fizjonomij, byśmy się od nich nie odwrócili.

Okrzykami bez końca i kantatą wspaniałą Żeleńskiego do słów Asnyka, przyjęto Jubilata wchodzącego na podwyższenie, gdzie hołdy, jakby król jaki miał odbierać. Zaczęły się przemówienia, od pełnych siły i wymownych słów prezydenta miasta Zyblikiewicza, który w ogóle dziarsko się przez cały czas spisywał, silną dłonią utrzymywał ruch cały w karbach i burmistrzował w dobrem i całem tego słowa znaczeniu.

Przemówienia trwały godzin parę. Z początku gdy Akademje i Uniwersytety wręczyły dyplomy, nastrój był oficjalny, ale potem gdy się ozwały głosy z kresów, z wygnania, z emigracji, z różnych stron świata, z polskich prowincji wysuniętych w sam głąb obcych żywiołów, ożywiło się całe otoczenie. Było wiele scen pięknych i wzruszających.

Nie będziemy się wdawali w szczegółowy opis uroczystości, przez wszystkie dzienniki podany. Notujemy tylko ważniejsze punkta, by i nasze pismo echem odbiło radośne wspomnienie.

Uczta w Sukiennicach była tak wielką, że zaledwie z mów coś słyszeć można było. Zresztą uczta była, jak zwykle uczta wielka, ze wszelkiemi epizodami zwykłemi i podniosłemi, bez wybitnego charakteru.

Bal w Sukiennicach wypadł tak jak jeszcze Polska nie widziała. Olbrzymia hala Sukiennic przepełniona była gośćmi, a gdy ruszył pochód w kilkaset par pod dźwięki poloneza Szopenowskiego, gdy przed oczyma przesuwały się postacie kontuszowe w deljach, piórach w szeregu bez końca, to się zdawało, że jakby jakie widzenie senne przeniosło nas w dawne chwile potęgi i wielkości, że naród obchodził jakieś wielkie zwycięztwo, koronował króla, znikły

gdzieś smutki rzeczywistości i wesoło, ochoczo bawiono się do rana.

Po za temi wybitniejszemi momemtami uroczystości było wiele innych godnych uwagi. Uroczyste przedstawienia w teatrze, wycieczka do Wieliczki, obiad literacko-artystyczny, bal Akademików i wiele, wiele innych.

Wielki czyn Siemiradzkiego jak meteor olśnił wszystkich w ostatnim dniu jubileuszu i entuzjazm powszechny wybuchł na nowo płomieniem.

II

Chwile takie przedstawiają wiele stron zajmujących i godnych uwagi. I uroczystość sama, owe hołdy publiczne i to co się w małych kółkach robiło i mówiło zarówno zająć nas winno. Zebrało się tam to, co w kraju jest najlepszego, co stanowi jego siłę odporną, poznało się wzajem i związało ściślejszemi węzły. Tu i ówdzie powstała myśl nowa, nowy projekt, nowe stosunki, które może mijały bez zwracania powszechnej uwagi, lecz w skutkach ważne i pożyteczne być mogą.

Tą bardziej prywatną stroną uroczystości, pozwolimy sobie zająć się przez chwilę.

Zacznijmy od gości dalszych, którzy nam tak miłymi byli. Czesi i Morawczycy należeli do tych prawdziwych gości, bo to co z kraju przyjechało, było przecież u siebie, to też im największa gościnność należała. W pierwszym dniu natłok był tak wielki i zamięszanie, że cokolwiek o nich przepomniano. Każdy szturmem zdobywał swoje miejsce i nasi goście zaledwie docisnąć się mogli. Lecz gdy po raz pierwszy ukazali się narodowi w Sukiennicach przy wręczaniu darów i przemówili pobratymczym językiem, zapał nie mógł się uspokoić. Nikt nie doczekał się takich oklasków, takich przeciągłych krzyków niech żyją! i *slava!* Od tego czasu witano ich i przyjmowano entuzjastycznie na każdym kroku.

Byli pomiędzy nimi przedstawiciele rozmaitych stronnictw i odcieni. Najliczniej reprezentowani byli Młodoczesi, tak zwana *narodna partja swobodomyślna* w przeciwstawieniu do Staroczechów, którzy się na miejscu nazywają *narodna partja konserwatywna*. Z młodoczechów był Dr. Jaromir Czelakowski, Dr. Tonner i Dr. Herold. Pan Tonner znany nam jest oddawna jako życzliwy i ruchliwy przyjaciel Polaków. Był on dawniej profesorem gimnazjalnym w Galicji, zkąd wrócił napowrót do Czech i zajmuje tam wybitne stanowisko. Po polsku mówi wybornie i jest mówcą bardzo dobrym. Jego toast na wielkiej uczcie w Sukiennicach i owe poetyczne a oratorskie porównanie o orle polskim i lwie czeskim na długo zostanie w pamięci tych, którzy go słyszeli.

Jaromir Czelakowski, należący do tych sześciu młodoczechów, którzy z kompromisu weszli do Rady Państwa, odrazu zjednał sobie powszechną sympatię świetną swą wymową, sympatyczną postawą i szczerą otwartością wobec wszystkich, którzy się z nim zetknęli. Z nazwiskiem Czelakowskich łączą nas jeszcze i dawniejsze wspomnienia. Ojciec jego, profesor filologji słowiańskiej na praskim uniwersytecie był zarazem redaktorem urzędowego pisemka Praski Listek, wychodzącego w czeskim języku. Cenzura kwitła wtedy na dobre i miano z nią tyle do walczenia, co my obecnie w Warszawie. Zaledwie półsłówkami i omówieniami można było potrącić o sprawy narodowe. Otóż była to chwila kiedy car rzucił owe pamiętne słowa: *Point des rêveries!* Stary Czelakowski oburzony dodał swój komentarz w Listku praskim do tych słów brzmiący jak następnie: Tak przemawiali dawniej tatarscy chanowie do ruskich książąt. Cenzor jakoś się nie opatrzył i przepuścił. Poszedł tymczasem donos do Timaszewa, który był wtedy posłem w Wiedniu, zrobiła się awantura i cenzora miano usunąć z posady. Człowiek ten wpadł do Czelakowskiego, padł mu do nóg i prosił żeby winę przyjął na siebie wskazując mu los swych pięciorga dzieci. Czelakowski uniesiony szlachetnością, oświadczył iż wstawił inkryminowane zdanie już po cenzuralnem przejrzeniu i wskutek tego utracił odrazu posadę redaktora oraz profesora. Przez półtora roku była bieda w domu, gdzie trzeba było utrzymać czworo dzieci. Nareszcie rząd pruski wezwał Czelakowskiego na profesora uniwersytetu we Wrocławiu.

Syn jego niemniejszą sympatję żywi dla Polaków, szczególnie dla tych, którzy z Niemcami mają do czynienia. Na uczcie gdy posłowie poznańscy podeszli do Czelakowskiego żeby się z nimi przywitać, Czelakowski nie mógł nic mówić ze wzruszenia i płacząc uściskali się w milczeniu. Opowiadał mi potem że jeszcze nigdy nie był tak wzruszony, nigdy mu tak przed oczyma nie stanął widok tych walk, które z takiemi wysiłkami oba pobratymcze narody z Niemcami prowadzić są zmuszeni, tych nadludzkich trudów i tych upokorzeń, które były ich udziałem.

Ze staroczechów na uroczystości był Dr. Gabler, dyrekor seminarjum w Pradze, człowiek już w sędziwym wieku, ale zajmujacy się wielce polskimi sprawami i nawet zasilający polskie pisma swemi pracami.

Z innymi Czechami nie mieliśmy sposobności bliższego zetknięcia, wiemy tylko, że i ich również sympatycznie i z równą czcią spotykano.

Na odjezdnem schody i pokój w którym Czesi mieszkali, zasypane były kwiatami, a rozstawali się z nami mając łzę w oku.

Kantata jubileuszowa

przez

ADAMA ASNYKA.

(C h ó r).

Szczęśliwy, komu w życiu dano
Doczekać plonu swojej pracy,
I ujrzeć myśl swą przechowaną
I najpiękniejsze zdobyć wiano,
Z kłosów, co niosą mu rodacy.

Szczęśliwy, kto swą piersią własną
Wykarmił całe pokolenia,
I wytknął dla nich drogę jasną
I w nowych jutrzniach, co nie gasną,
Ogląda dzieło odrodzenia.

Szczęśliwy, kto szedł naprzód w znoju
Z hasłami, które ludzkość budzą,
I walcząc w ciszy i pokoju,
Dokonał ludzkich dusz podboju,
Niezaćmionego krzywdą cudzą.

Szczęśliwy! Palmy zwycięztw z dłoni
Nie wydrze ramię mu niczyje —
Burza go nieszczęść nie dogoni —
On wyszedł z ciemnej losów toni
i nieśmiertelny w sercach żyje.

(S o l o).

I naród żyje, gdy mu przodem
Pochodnia wielkich myśli świeci,
I jeszcze wielkim jest narodem,
Gdy się odświeża życiem młodem,
Wydając z siebie takie dzieci.

Żyje, gdy na świat z jego łona
Wychodzą zbrojni wciąż rycerze,
Których wróg żaden nie pokona,
A ludzkość ze czcią ich imiona
Wpisuje w dziejów karty świeże.

Żyje ten naród, co prawdziwą
Zasługę pojmie i ocenia,
I w ślad za myślą idzie żywą
I zbiera świeżych kłosów żniwo
Na drogach swego odrodzenia.

(C h ó r).

Więc w uroczystym dziś obchodzie,
Wielkiego męża czcijmy święto,
W bratniej miłości, w bratniej zgodzie,
Nieś mu życzenia swe Narodzie,
Niech kończy pracę rozpoczętą.

Niech rozpościera jasność wszędzie,
I zbiera owoc swoich trudów,
W wielkich zdobywców stając rzędzie,
Niechaj ojczyźnie swej zdobędzie
Cześć i braterstwo wszystkich ludów.

Niech dzień ten przyszłość nam zapowie,
Do której zwolna ludzkość wiodą
Najszlachetniejsi jej synowie;
A czyn zamknięty dotąd w słowie
Najmilszą będzie mu nagrodą.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i nauka.

*** Prasa wiedeńska w ostatnich dniach żywo zajmowała się sprawą jubileuszu Kraszewskiego, a z tego powodu i osobą szanownego jubilata.

Przedwczoraj przyniósł „Extrablat“ na czele swego numeru bardzo go udały portret z życiorysem jubilata, nazywając go nestorem powieści polskiej, „genjalnym pisarzem“ „ozdobą literatnry wszechświata.“

„Neue freie Presse“ i „Tagblatt“ jeszcze większe oddają hołdy Kraszewskiemu, wielbiąc w nim niepospolity talent.

„N. fr. Presse“ pomieszcza dziś feljeton o Kraszewskim pióra znanego autora niemieckiego Waldmüllera (Ed. Duboe).

Stara „Presse“ zamieszcza dziś również obszerny i pięknie napisany feljeton pióra dr. Henryka Blumenstocka o Kraszewskim.

To samo napisał przed kilkoma dniami „Fremdenblatt“ i „Deutsche Zeitung.“

„Wiener Abend-post“ występuje z całym szeregiem artykułów o Kraszewskim, podpisanych pseudonimem Emil Jean.

*** Nakładem Gebethnera i Wolfa świeżo opuściła prasę powieść w dwóch tomach J. I. Kraszewskiego pod tytułem: „Bratanki.“

Opowiadanie to oparte na podaniach z ośmnastego stulecia.

*** „Wiek“ rozpoczął druk nowej humoreski Alberta Wilczyńskiego.

Tytuł jej: „Misja familijna.“

*** Świeżo opuściła prasę kartka z dziejów literatury ośmnastego stulecia pod tytułem „Krasicki — życie i dzieła“.

Autorem studjum jest J. I. Kraszewski.

Rzecz tę zamieścił przed niedawnym czasem miesięcznik „Ateneum.“

*** Wyszedł świeżo z druku tom, zawierający „Opowiadania pomniejsze“ Kajetana Kraszewskiego. W tomie tym znajduje się pięć opowiadań pod następującemi tytułami: „Votum“, „Co się dzieje na księżycu,“ „Białonóżka pana Majora“, „Skarb stolnikowicza“ oraz „Trzewiczek“.

*** Nakładem Gebethnera i Wolfa ukazał się dwutomowy zbiór nowel i opowiadań Elizy Orzeszkowej, z których kilka znanych jest czytelnikom naszego pisma.

Nowelek tych i opowiadań jest ośm, a mianowicie: „Stracony“, „Dziwak“, „Pani Luiza“, „Szara Dola“, „Juljanka“, „Czternasta część“, „Silny Samson“ i Milord“.

*** Ciekawe studjum z dziedziny filozofji i fizyki pod tytułem: „Siła jako ruch“ Juljana Ochorowicza drukowane jest obecnie w miesięczniku „Ateneum“.

*** Na półkach księgarskich świeżo ukazało się wielce cenne dzieło pod tytułem: „Poradnik technologji chemicznej“ Rudolfa Wagnera w przekładzie Juljana Grabowskiego, kandydata nauk przyrodzonych, dra filozofji, profesora instytutu przemysłowo technicznego w Krakowie.

Dzieło to opatrzone jest 349 drzeworytami, tekst objaśniającemi.

*** Wiktor Hugo powrócił do Paryża z Veules i Villequier, gdzie bawił na letniem mieszkaniu u swych przyjaciół. Sędziwy poeta zabrał się zaraz do nowego utworu poetycznego p. t. „Toute la lyre“. Nowa ta książka ukaże się w ciągu listopada.

*** Akademja francuska wybrała na następny kwartał dyrektorem księcia de Broglie, a kanclerzem Aleksandra Dumasa.

*** W Brukselli odbywają się posiedzenia międzynarodowego kongresu amerykanistów, w którym biorą udział król, wiele znakomitości i uczonych ze wszystkich części świata. Na posiedzenie przybył też i prezydent rzeczypospolitej Venezueli, jenerał Guzman Blanco z swym sztabem. Celem tego połączenia jest zbadanie historji pierwotnych ludów amerykańskich.

Prasa perjodyczna.

*** Z Paryża otrzymujemy prospekt nowego wydawnictwa literackiego, które ma robić konkurencję słynnej: „Revue des deux mondes“.

Tytuł jego: „La nouvelle Revue“, a redaktorką pani Edmundowa Adam, znana pod nazwiskiem Julji Lambert, autorka francuska.

Pomiędzy współpracownikami prospekt wymienia wiele imion najsłynniejszych, jak: Wiktor Hugo, About, Alfons Daudet, Littré, E. Reclus, Pelletan, John Lemoine, Girardin, Henryk Martin, Proust, Lesseps, Bardoux.

Będzie to organ literacki republikanów; przyrzeka on być obrazem ruchu umysłowego w całym świecie i dlatego do redakcji swej zaprosił wybitniejszych pisarzy zagranicznych, jak: Castelara, Turgenjewa, Jokaja i t. d.

Pierwszy zeszyt miał wyjść 1. października.

*** W Finlandji wychodziło w 1878 roku 55 gazet, z których 30 w języku fińskim, a 25 w szwedzkim.

*** „Praw. wiestnik“ ogłasza, iż minister spraw wewnętrznych udzielił pismu „Russkaja Prawda“ drugie ostrzeżenie, a gazetom „Petersburger Zeitung“ i „Nowoje Wremia“ odebrał“ pozwolenie sprzedaży ulicznej.

*** W Berlinie ukazał się pierwszy numer pisma „Kieine Journal“ wydawanego przez doktora Strousberga.

*** W Dieghem, w Belgji, odbył się w tych dniach pojedynek na pałasze pomiędzy Eugenjuszem Liébertem, redaktorem „XIX Siècle“ a Edmundem Lepelletier, redaktorem „Marsellaise“; obaj przeciwnicy ranieni.

Sztuki piękne.

*** W wiedeńskim „Künstlerhausie“ znajduje się ostatni rysunek Artura Grottgera, nie wykończony jeszcze całkowicie, p.t. „Kometa“.

*** Na wystawie obrazów w Berlinie znajduje się obecnie obraz ziomka naszego, Wilhelma Stryjowskiego z Gdańska: „Echo kurhanów“.

Berl. Börs. C. pisze o tym obrazie:

„Należy on do najlepszych kompozycyj malarza, wiernie oddanego ulubionym sobie motywom z życia flisaków i żydów polskich.

Na jezioro polskie opadł całun zmroku wieczornego.

Po nad wodę i drzewa wznosi się blady sierp księżyca, w łodzi stoi dziewczyna, biało ubrana, pragnąca wywołać echo z kurhanu; inna leży u nóg jej także w łodzi, wraz z dwojgiem małych dziewcząt, a chłopak w sukmanie wieśniaczej steruje.

Wszystkie postacie wybornie scharakteryzowane, a po nad całym obrazem rozściela się melancholijny urok wieczoru“.

*** Henryk Wieniawski przychodzi całkowicie do zdrowia.

Znakomity skrzypek zawarł podobno umowę z impresarjem Ullmanem, organizującym szereg koncertów w Wiedniu.

Wieniawski wystąpi w towarzystwie... Liszta, Antoniego Rubinsteina, Bülowa i Faure'a.

Wspaniały komplet, którego ramy stanowić zapewne będą artyści drugorzędnego rozgłosu.

*** Nowy tenor. W Brukselli mówią wszyscy o nowym tenorze, który w tych dniach wystąpił w teatrze Royal de la Monnaie w roli Ferdynanda w „Faworycie“.

Odrazu zyskał on olbrzymie powodzenie.

Nazywa się Mazart i jeszcze niedawno był porucznikiem piechoty.

Ale na rozkaz ministerjalny został przyłączony do departamentu wojny w Brukseli, aby mógł kształcić się w śpiewie w konserwatorjum, a przed kilku dniami dziennik rządowy ogłosił zupełne uwolnienie go od służby wojskowej.

Na pierwszym występie była obecna królowa belgijska i mnóstwo znakomitych osób, które nowego tenora przyjmowały z zapałem.

*** W dniu 18. października odbędzie się roczne posiedzenie publiczne akademji sztuk pięknych w Paryżu, roczne posiedzenie publiczne pięciu akademij naznaczono na 25. października.

Teatr.

*** Wkrótce na scenie teatru Rozmaitości w Warszawie, ukażą się „Bezczelni“ Augier'a w przekładzie jednego ze znanych literatów.

*** Djabeł w operze.

Pewien amator-statystyk obliczył, że szatan trzydzieści cztery razy służył za temat do różnych oper.

Oto ich tytuły:

„Djabeł w szkole“ Boulanger'a: „Le Diable a quatre“, temat, opracowywany przez Sarte'a, Fildora i Adama; „Djabeł w Sewilli“ Gomeza; „Djabeł w młynie“ Gewarta; „Kulawy djabeł“ Haydna; „Djabeł różowy“ Havré; „Djabeł na wakacjach“ tegoż; „Djabeł tam“ Webera; „Djabeł i cyganka“ van der Brucka; „Djabeł wodny“ Metkego: „Djabeł różowy“ Dejazet'a; „Djabeł kaznodzieją“ Baszta; „Djablica“ Jaluppi'ego; „Djabeł różowy“ Petrelli; „Djabeł nocny“ Bottezini'ego; „Młyn djabelski“ Müllera; „Zamek djabelski“ Schuberta; „Żona djabła“ Jacobi'ego; „Pamiętniki szatana“ Sozzi'ego; „Robert djabeł“ Meyerbeer'a; „Djabelskie sztuki“ Grisard'a; „Djabelska piękność“ Alaniego; „Zamek djabelski“ Waltera; „Fra-Diavolo“ i „La part du diable“ Aubera; „Wesele djabła“ Larnette'a; „Robert djabeł“ Müllera; „Trzy pocałunki djabła“ Offenbacha; „Nauczyciel i djabeł“ Bena; „Djabeł“ Traversariego; „Skrzypce djabelskie“ Merkuriego i „Narzeczona djabła“ Adama.

Policzyć dramata, komedje i powieści, w których występuje djabeł, jest chyba... niemożliwością.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** Przytulisko w Berlinie, założone dnia 15 lutego r. 1877, ma na celu wspieranie niezamożnych Polaków, przybywających do stolicy niemieckiej, w celu szukania pracy.

Instytucja ta udziela przytułek, daje skazówki, rady i użycza wszelką inną pomoc, uznaną przez zarząd towarzystwa za potrzebną i możliwą.

Usiłuje ona wogóle zapobiegać, aby ubodzy Polacy nie byli zmuszeni żebrać w Berlinie na ulicy, oraz po domach polskich lub obcych.

Ktokolwiek chce z tego zakładu korzystać, powinien mieć papiery legitymacyjne w porządku i zgłosić się do Przytuliska przy Holzmarkstrasse pod Nr. 41, lub do deputowanych okręgowych.

Przytulisko daje przybyłym do Berlina wędrowcom schronienie bezpłatne przez dni kilka i, prócz tego (jeśli zarząd uzna to za potrzebne i możliwe), pożywienie, bieliznę, odzież, tudzież bilet kolei na podróż z powrotem do kraju.

Członkiem Przytuliska może być każdy Polak, czy to mieszkający w Berlinie, czy gdziekolwiekbądź, który się zobowiąże do płacenia miesięcznej składki, przynajmniej w kwocie 25 feników. Wszelkie więc datki pieniężne, odzież, bielizna, obuwie i tp., które można nadsyłać na ręce skarbnika towarzystwa, przyjmowane są z wdzięcznością. Z otrzymania tych zasiłków towarzystwo kwituje, z podpisem prezesa, skarbnika, sekretarza i pieczęcią towarzystwa.

Z początkiem roku 1879 liczyło towarzystwo 67 członków, obecnie liczy 84. Pomiędzy nimi znajdują się: księżna Czartoryska z Rokosowa, pani Marja Rocho z Gdańska, p. A. Wierzbicki z Gniezna, pani Potworowska z Sielec, p. Konopacki z Drezna, towarzystwo przemysłowców polskich w Dreznie, p. T. Sarnowski z Gutowa, St. Jankowski z Berlina i wiele innych osób.

Doświadczenie wykazało niejednokrotnie, jak niezbędnym był taki polski dom schronienia. Należy się więc osobom, które wspierają go swoją opieką, rzeczywiste uznanie.

*** W Petersburgu liczba podań o przypuszczenie do egzaminów kobiet celem uzyskania prawa słuchania wykładów medycyny wyniosła w bieżącym roku szkolnym ogółem 112 (200 w roku ubiegłym). Egzamina trwały od 17 do 29 września. Tylko 77 kobiet zdało egzamin.

Wynalazki i odkrycia.

*** Telefon w Paryżu. W dniu 28 sierpnia r. b. w wielkiej sali na dworcu kolei Św. Łazarza, wobec przedstawicieli prasy paryskiej wykonywane były doświadczenia przez Towarzystwo zawiązane w celu założenia głównego biura telefonicznego według systematu Edisona. Próby z narzędziami muzycznemi, jak donosi „Przyr. i Przem.,“ okazały się wcale zadawalniającemi, mniej nieco z mową zwyczajną. Towarzystwo uzyskało od rządu upoważnienie do zaprowadzenia w Paryżu sieci drutów telegraficznych, a za opłatą miesięczną 50 franków każdy mieszkaniec będzie miał prawo znoszenia się z osobami, posiadającemi również druty prowadzące do bióra centralnego. Towarzystwa dróg żelaznych postanowiły również zaprowadzić telefon dla znoszenia się z odleglejszemi stacjami.

Być więc bardzo może, że telefon upowszechni się w Europie, jak upowszechnił się już w Stanach Zjednoczonych, gdzie od roku eksploatowany jest przez potężne Towarzystwo „Wester Union Telegraph C°.“

*** Greenwichskiemu obserwatorjum doniesiono, iż profesor Peters w Calinton (New-York) odkrył nowego planetę jedenastej wielkości.

Komunikacje.

Sieć kolei galicyjskiej ma być dwiema nowemi linjami uzupełnioną. Jedna z tych linij ma iść wzdłuż wschodniej granicy galicyjskiej i połączyć Tarnopol z Śniatynem; tym sposobem byłaby to poniekąd najkrótsza droga, łącząca dwie główne linje kolejowe: Lwów-Odessa i Lwów-Jassy. O budowę tej kolei (Tarnopol-Sniatyn) ubiegają się dwie koleje galicyjskie, a mianowicie: kolej Karola Ludwika i lwowsko-czernowiecka. Pierwsza projektuje dla nowej kolei linję długości 90 kilometrów, premilinujące koszta budowy na 1·7 miljonów guldenów. Kapitał potrzebny do budowy wytworzyłaby kolej Karola Ludwika z swych funduszów rezerwowych i z niesprzedanych „prioritetów“. Kolej lwowsko-czerniowiecka proponuje zupełnie inną linję dla nowej kolei mającej połączyć Tarnopol z Śniatynem, wynoszącą 160 kilometrów długości, a mającą kosztować 4·5 miljonów guldenów. Dla pokrycia kosztów budowy musiałyby kolej lwowsko-czerinowiecka zaciągnąć dług na „prjorytety.“ Obiedwie galicyjskie koleje nie żądają dla nowej linji od rządu gwarancji odsetek. Rząd z swojej strony nie rozstrzygnął jeszcze dotychczas sprawy budowy tej nowej kolei. Prócz tego zamierza kolej Karola Ludwika wybudować drugą nową linję Jarosław-Belzice, mającą uzupełnić wielką

drogę kolejową Fiume—Buda-Peszt—Łupków—Tarnów, łącząc tę z koleją nadwiślańską.

***** Jednym z najdłuższych mostów kontynentu europejskiego będzie wykończający się obecnie na Wiśle, koło Grudziąża. Długość jego wynosi 1443 metrów. Połączy on koleje żelazne Prus wschodnich z drogami żelaznemi Torunia i Insterbergu.**

***** Projekt wykopania kanału łączącego San z Dniestrem postąpił o jeden krok naprzód. Dowiadujemy się bowiem, że ministerstwo handlu udzieliło inżynierowi p. Feliksowi Laurent we Lwowie pozwolenie do przedsięwzięcia wstępnych technicznych robót, dotyczących kanału pomiędzy Czajkowicami pod Dniestrem a Michałowicami nad Sanem, w celu połączenia obydwóch tych rzek, względnie z Wisłą w dalszym planie morza Bałtyckiego z Czarnem. Koncesja ważną jest na jeden rok. Komunikacja wodna, jaka tym sposobem byłaby utworzoną pomiędzy Gdańskiem a Odessą wynosiłaby 304 mil długości, z czego na sam kanał 8—9 mil przypada. Myśl wybudowania kanału pomiędzy Sanem a Dniestrem nie jest nową. Jeszcze w roku 1751 za rządów rzeczypospolitej, a więc w czasie „epoki kanałów we Francji" — trasowali francuscy inżynierowie Beauplein i Defillè ten ważny kanał, zowiąc go „najtańszym i najpożyteczniejszym w świecie", ponieważ za pomocą tego krótkiego kanału utworzoną byłaby wodna komunikacja, która przecinając w prostej linji Europę na dwie części w samym jej środku, musiałaby stać się jedną z najbardziej ożywionych dróg handlowych. Później w roku 1811 i 1815 trasowali niemniej inżynierowie Osterlani i Breumüller ten sam kanał. Projekt, który nosił nazwę: „Najważniejszy kanał w Europie, łączący morze Bałtyckie z Czarnem", był w swoim czasie wiedeńskiemu kongresowi przedłożony.**

***** Inżynier Lesseps udaje się do Marsylji, zkąd popłynie do Aten, dla przedsiębrania, wspólnie z jenerałem Torrem, prac dla przebicia międzymorza Korynckiego; wydatek ogólny otwarcia kanału pomiędzy zatoką Salonicką i Koryncką, pozwalającego okrętom uniknąć niebezpiecznego przepływania przylądku Matapon, wyniósłby czternaście do ośmnastu miljonów.**

***** Wschodnie towarzystwo telegraficzne londyńskie zostało zawiadomione, iż uskuteczniono założenie telegrafu podmorskiego pomiędzy Mozambikiem a zatoką Delagoa, wskutek czego połączony został telegraficznie Natal z Mozambikiem.**

***** Na Tamizę spuszczono „Orient", największy angielski okręt kupiecki. Zbudowany on został w warstatach Clyde i przeznaczony jest do Australji. Rozmiarami przypomina „Great Eastern". Długość okrętu wynosi 140 metrów. Okręt może pomieścić 550 pasażerów i ubiedz na godzinę 17 węzłów.**

JAK WIELCY LUDZIE PRACUJĄ?

Jednym z najciekawszych rozdziałów w historji literatury powszechnej byłby niewątpliwie ten, któryby nam opowiedział kaprysy, właściwości i przesady genjalnych ludzi w chwilach, kiedy pełnią posłannictwo swego zawodu.

Byłoby to ciekawem raz dlatego, iż poznalibyśmy sposób, w jaki powstały wielkie, szeregiem pokoleń niosące swą niespożytą chwałę dzieła; powtóre, bo takie drobne, ulotne szczególiki o znanych i sławnych ludziach zawsze nęcą ciekawość.

Dziwna rzecz jednak, że takich rzeczy nie piszą, zapewne dlatego, ponieważ trudy zbierania tych cegiełek do scharakteryzowania jednostki ludzkiej nie są łatwe i zbierać je potrzeba rozproszone na szerokich przestrzeniach, jak głazy przedhistoryczną falą rzucane.

Sposób pracy i tworzenia u każdego człowieka jest innym; zapewne, dwóch ludzi nie tworzyło jednym i tymże samym sposobem, jakkolwiek zapewne wszyscy uczuli na sobie brzemię jednego powszechnego prawidła, że tworzenie jest ciężką pracą. Bezwątpienia niektórzy posiadają pewną łatwość w osnuwaniu i wykonywaniu swych planów, to pewna jednak, że — z wyjątkiem u Szekspira — utwory takie pośledniejszą mają wartość, aniżeli miałyby w innych stworzone warunkach, że ustrzegłyby się niejednego usterku przeciw zasadom piękna, gdyby powstały z rzetelniejszego trudu.

W zakresie pracy literackiej wspomnieć wypada naprzód o Wirgiljuszu. Zwykł on był co rana rzucać na papier kilkanaście lub kilkadziesiąt wierszy, które przez cały dzień później wygładzał i wyrzeźbiał. W ten sposób potrzebował lat dziesięć, ażeby napisać swych krótkich dziesięć eklog; siedmiu lat na „Georgiki" zawierające 2000 wierszów, a dwunastu na wykończenie „Eneidy". Pomimo takiego nakładu pracy na wypieszczenie swej epopei, był z niej Wirgili zawsze niezadowolonym i jeszcze przed śmiercią chciał oddać jej rękopism na pastwę płomieni.

Podobnież niezmordowanym był Horacy i pomiędzy dziełami jego znajdujemy niektóre ody, które go miesiącami zatrudniały. Lukrecjuszowi praca nad jednym poematem wypełniła całe życie; Plato „Rzeczpospolitą" w dziewięć różnych form ubierał. Tucydydes przez lat dwadzieścia pracował nad swą historją zawierającą się w jednym tomiku in 8vo. Gibbon pisał trzy razy pierwszy rozdział swojego dzieła, zanim mu się tenże podobał, a John Forster, autor słynnych szkiców, całemi tygodniami rozmyślał nad jednem zdaniem.

Addison takim był nudziarzem, iż zatrzymywał prasę drukarską dla jednego przymiotnika — ba! dla jednego przecinka, a Montesquieu powiada w jednym ze swoich listów: „Wy to przeczytacie za godzinę, ale praca, którą mnie kosztowało napisanie tego, pobieliła moje włosy." Wielki krytyk francuski St. Beuve poświęcał niezmiernie wiele trudu na każdy wyraz i dwie lub trzy stronnice bywały częstokroć plonem całotygodniowej roboty.

Tasso, Pope i Boileau niezmordowanymi byli w poprawianiu swych utworów, a dorównał im nieomal Macaulay, pomimo swego tak potoczystego stylu.

Opowiadają ciekawą historję o poecie francuskim Malesherbes'ie, która wybornie illustruje troskliwość jego o formę wiersza. Jeden z przyjaciół poety, owdowiawszy, pragnął gorąco, aby Malesherbes napisał dla nieboszczki wiersz pozgonny, opiewający ogrom nieszczęścia małżonka po śmierci drogiej żony. Malesherbes obiecał, ale w dopełnieniu przyrzeczenia był tak skrupulatnym, że wygotował elegję dopiero po trzech latach. Właśnie, gdy zamierzał ją przesłać przyjacielowi, dowiedział się, iż tenże wstąpił świeżo w nowy związek małżeński i jako szczęśliwy nowożeniec nie myśli o hymnach pogrobowych.

Kardynał Bembo tak był czułym na ścisłość wyrażenia, że każdy jego utwór poetyczny musiał przesunąć się przez czterdzieści portfelów, oznaczających tyleż stopni ogładzenia formy, zanim na świat wyjrzał. Pascal troszczył się szczególniej o zwięzłość wyrażenia i usprawiedliwiał się w piśmie do przyjaciela z długich rozmiarów listu tem, iż nie miał czasu, napisać krótki. Jego słynne „listy z prowincji" pod względem treściwości stylu dorównywują też językowi Tacyta i „listów Juniusa".

Niektórzy autorowie szkicują szybko plan dzieła, a trud wypracowania szczegółów odkładają na później. Tak czynił Balzak. Posyłał on wydawcy szkic romansu, ale zostawiał białe kartki na wypełnienie rozmów, opisów itp., a gdy nadeszła pora wykonania tej pracy, zamykał się w swej izbie o chlebie i wodzie, i tak długo nie pił i nie jadł, dopóki białych kart nie wypełnił.

Godwin napisał „Kaleba Willamsa" w ten sposób, iż zaczął od ostatniego rozdziału i szedł ku pierwszemu. Burton, sławny autor dzieła: „Anatomja melancholji", Locke, dowcipny Fuller, biskup Horne, Warburton mieli ogromne zbiory sentencji, które według potrzeby pomieszczali w swoich dziełach. Sheridan i Hook śledzili bacznie za zgrabnemi zwrotami w konwersacji towarzyskiej a pochwyciwszy je natychmiast wpisywali do swoich notatek, aby z nich w swoim czasie zrobić użytek autorski.

Pope spisywał co chwila ulotne myśli, które mu się nasuwały do głowy — przy stole, w powozie, przy tualecie, w łóżku... Hogarth szkicował twarze, których rysy go uderzyły na płaszczyznach paznogci; to nam tłómaczy bogactwo najrozmaitszych fizjognomji w jego galerjach portretowych. Swift, w łóżku leżąc zrana, układał dowcipy „na cały dzień", a Teodor Hook czynił to już poprzedniego wieczora.

Inna część autorów przedstawia znowu zjawisko wręcz przeciwne. Satyryk rzymski Lucylius pisał z taką łatwością, że jak sam się chwalił, dwieście wierszy mógł napisać stojąc na jednej nodze. O Szekspirze jest rzeczą wiadomą, że ręka jego równie chyżym biegła lotem, jak myśl genjalna; w rękopisach jego nigdy nie przepisywanych nie znajdziesz ani jednej poprawki ani jednego błędu.

Największą łatwość w tworzeniu mieli poeci hiszpańscy Calderon i Lopez de Vega. Ten ostatni pisał sztukę teatralną w 3—4 godziny, to też wyposażył on teatr hiszpański w 2000 blisko dramatów. Z pomiędzy Anglików odznaczali się szybkością pisania Dryden i Walter Scott. Pierwszy w niespełna trzech latach przetłómaczył całego Wirgilego. Sławne swoje „Porównanie poezji z malarstwem" napisał w dwunastu dniach, pracując tylko przed południem. Powiada on sam, że gdy pisał, uczuwał zawsze taki napływ myśli, że nie mógł ich nigdy ułożyć w porządek.

Walter Scott dyktował swoje romanse tak szybko, że pisarz jego nie mógł wydołać piórem, poprawek zaś najlżejszych nie znał także. Wskutek tego obydwaj ci wielcy pisarze pozostawili mnóstwo pism przepełnionych gramatycznemi błędami, pleonazmami i t. p., a to dlatego, że nie znali sztuki najpierwszej i najpożyteczniejszej: sztuki — przekreślania.

Łatwo to zresztą pojąć, gdy utwory czystej fantazji, pisane w stylu śmiałym i lekkim, szybko wyrastają z pod pióra. Doborowych wyrazów i troskliwie dobieranych rymów mniej tu bowiem potrzeba. Zdziwić nas może bardziej, kiedy np. Ben Johnson wykończa w sześciu tygodniach swoją, we wzniosłym nastroju formy utworzoną komedję „Alchemik", albo gdy tenże sam autor 48 stronnic „Życia dzikiego" pisze bez powstania z krzesła.

Takiego jednak sposobu pisania nie należy naśladować, bo jak dowcipnie Sheridan zauważył: „rzecz lekko i szybko napisana czyta się nieraz trudno i pomału", a mądry lord Bakon przestrzega, że cudownych zjawisk, nie licujących z prawami natury, które bytem człowieka rządzą, nie należy ani wywoływać ani naśladować.

Przejdziemy do trzeciego rodzaju dzieł, powstałych wśród wyjątkowych okoliczności.

Już to jest godnem uwagi, że dwa dzieła historyczne, należące do klejnotów naukowej literatury — Tucydydesa „Historja wojny peloponezkiej" i lorda Clarendona „Historja rewolucji" zostały napisane na wygnaniu Podobnież pisał Locke swe sławne „Listy o znoszeniu przeciwności", chroniąc się w Holandji przed zapalczywością rządu ojczystego; „Boska komedja" Danta wiązała się w pieśni podczas tułaczego życia swego piewcy.

Jeszcze melancholijniej usposabia nas spojrzenie na dzieła genjuszu ludzkiego zrodzone w celi więziennej, jak ów wesoły „Don Kiszot", który ujrzał światło w ciemnem, zadusznem więzieniu hiszpańskiem „Historja świata" Waltera Raleigh'a powstała także w głuszy więzienia. Jerzy Buchanan mistrzowski swój przekład psalmów wykonał w okowach portugalskiego rządu; podobnież w chłodzie murów więziennych urodziły się Boecjusza „Pociechy filozofji" i Weltera „Henrjada".

Tasso stworzył wiele swych najcudowniejszych strof w domu obłąkanych, dokąd go zawiść ludzka wepchnęła, podobnie jak Krzysztof Smart, twórca „Pleśni Dawidowych," jednego z najwymowniejszych poematów religijnych świata.

Plaut pisał przy piecu piekarskim; Descartes zwyczajnie w łóżku, Richardson tworzył swe wyborne romanse w drukarni, przy pułkach zecerskich. Byron większą część „Lary" napisał przy tualecie; a „Lallah Rookh," poemat Moora ujrzał swoją kolebkę w chacie zawianej śniegiem i zamkniętej od świata lodowcami. Burnsowi wyśnił się jeden z jego śpiewów lirycznych i poeta spisał go pod bezpośrednim wpływem marzenia sennego. „Sonata djabelska" Tartiniego była także dzieckiem bożka Morfeusza.

Tak to różne i niepojęte bywają pobudki podniecające lub ułatwiające objawienie się genjuszu ludzkiego, który z szczytnym heroizmem pokonywa wszystkie zapory, piętrzone bądźto ułomnością fizycznej natury, bądź działaniem wrogich potęg zewnętrznych — i unieśmiertelniając się w niepożytych dziełach umysłu i wyobraźni wykonywa tem samem dostojne swe prawo bytu.

Treść Nr. 37.

Z drukarni Dziennika Polskiego, pod zarządem Leona Zubalewicza. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.